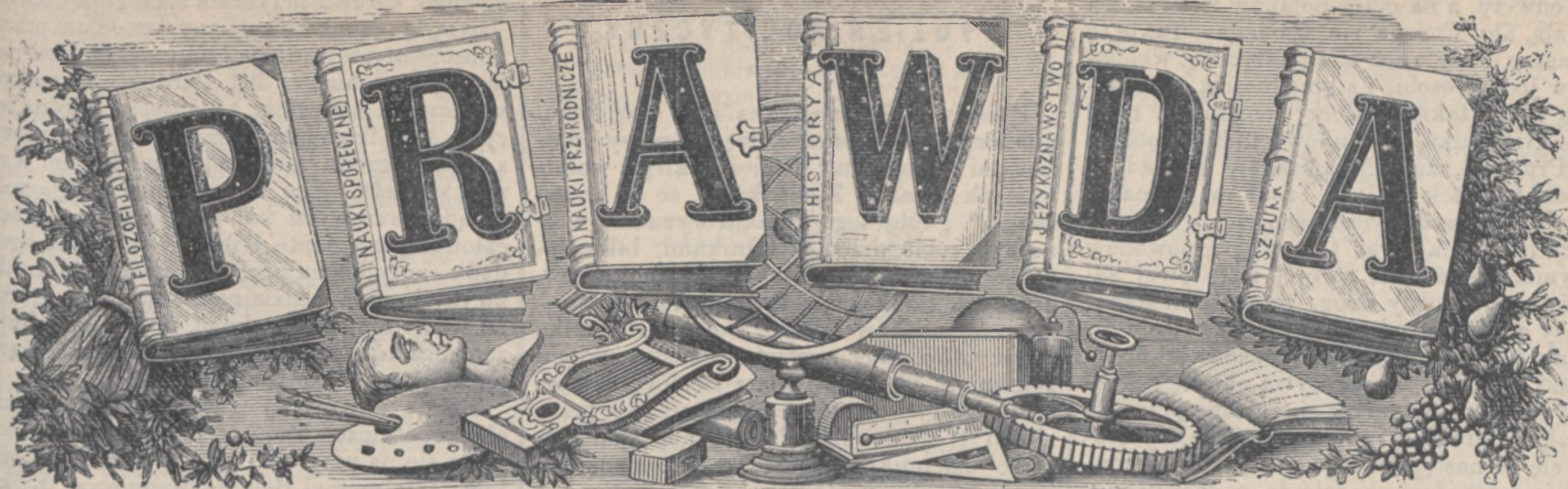
№ 21. Warszawa, dnia 21 (9) Maja 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

KRZYŻACKI AMEN.

„Jest to już ostatnie ogniwo w łańcuchu środków, wymierzonych przeciwko narodowości polskiej" — rzekł minister Puttkamer przy obradach nad nowym podziałem powiatów prusko-poznańskich. Odważymy się na śmiałą hipotezę: gdy to rzekł, odetchnął, jak po spełnieniu szeregu czynów, które mu wielkiej rozkoszy nie sprawiły i do których objawił nieco sztuczną ochotę. Dalecy jesteśmy od naiwności posądzenia tej lub innej figury w teatrze maryonetek Bismarka o jakąś czułostkowość, zwłaszcza dla polaków, nie sądzimy jednak, ażeby wyznaczone przez dyrektora role obdzierania żywcem ze skóry niewinnego społeczeństwa przypadały im szczególnie do smaku. Ślepa wiara w mądrość i ślepe posłuszeństwo władzy ks. Bismarka wytwarzają w tych maryonetkach coś podobnego do przekonań i zapału, ale znać w ich gorliwości wysiłek, przymus, kłamstwo. Nawet śród orszaku, uprawiającego gwałt, śród konserwatystów, t. z. „junkrów," odzywała się cicho lub głośno odraza do tych tortur i tępień politycznych. Wyobraziciel tej czeredy, minister Puttkamer, przyjmował każde wyzwanie z ław polskich, bo namiętność walki pozwalała mu stłumić skrupuły i dodawała odwagi, jak oficerowi w bitwie, który wolałby jej nie toczyć, ale usłyszawszy strzały z przeciwnej strony, uczuwa w sobie zawziętość.

Posłom polskim w obu Izbach pruskich przyznać trzeba zaszczyt mężnego dotrwania na polu walki. Chociaż pamiętali o słowach Windhorsta i sprawdzili słuszność jego zapowiedzi, że gdyby anieli zstąpili z nieba, nie zmienią uchwały parlamentu— nie zamilkli i nie ustąpili ze zburzonych szańców. Obrona ich niekiedy zadawała zwycięzkim barbarzyńcom dotkliwe ciosy. Może najboleśniejsze, bo orężem z naukowego arsenału niemieckiego rąbane, spadły z rąk znakomitego historyka K. Jarochowskiego. Z dzieł badaczów germańskich przytoczył on szereg dowodów, odpierających zarzuty, czynione rządom polskim w Prusiech. Roku 1754 Gdańsk — miasto czysto niemieckie — takie wystawia świadectwo owym rządom w lat 300:

„Otóż tedy widzą swą wolność, swe prawa, swobody, mury, domy, dobra, wszystko swoje, religię, bezpieczeństwo, spokój, życie i życie swych bliźnich, swych małżonków, swe dzieci, powodzenie szlachty krajowej, kwitnący stan miast i nawet całe Prusy przez nieprzebraną dobroć Najwyższego, przez opiekę najjaśniejszych królów polskich i przez niezmordowaną pilność ich przodków, na teraz nieuszkodzone, zatrzymane i przywrócone. Niczego ze wszystkich tych rzeczy nie posiadaliby spokojnie, gdyby jeszcze nad naszemi głowami przewodzili owi pyszni panowie, których uciążliwe w najwyższym stopniu jarzmo musieli znosić tak długo nasi przodkowie, a którzy rabunkiem, dogryzaniem, krzywdzeniem, dręczeniem i morderstwem starali się jaknajusilniej o to, aby tę naszą prowincyę wyssać, wyniszczyć i zupełnie zrujnować, a byliby też ją ostatecznie zrujnowali, gdyby Bóg naszego nieszczęścia nie był widział miłosiernemi oczami, gdyby wielkie męztwo przodków naszych nie było potrzaskało na kawałki tego niebezpiecznego krzyża, gdyby od trzechset lat właśnie tyrania rycerzy niemieckich nie była zupełnie wygnana i gdyby o wiele łagodniejsze panowanie najłaskawszych królów polskich nie było poczęło nad nami świecić. A tym dniem, w którym ojczyzna nasza ochłonęła znów ze swego niegdyś strachu i niejako z piekieł powstała do daleko lepszego żywota, jest właśnie dzisiejszy."

W Izbie panów, która poświęciła „ostatnie ogniwo łańcucha," w sejmie ukutego, Kościelski stoczył jeszcze z ministrem Puttkamerem zacięty pojedynek, naturalnie z takim samym skutkiem, z jakim — według Windhorsta — walczyliby anieli.

A więc *consumatum est*! Postawiono krzyż, zawieszono na nim niewinny naród i wbito wszystkie potrzebne gwoździe. Posłuchajmy, co o całej tej sprawie mówią ludzie, którzy są bezstronnymi jej świadkami:

„Tak postępują—mówi *Russkij Kurjer* — nie wandale, według pojęcia niemieckiego, ale prawdziwi, najrzeczywistsi wandale, według pojęć wszechludzkich. Nie potrzeba szukać żadnego innego punktu zapatrywania na tę sprawę, oprócz wszechludzkiego, aby uznać to za wandalizm. Za nic innego nie można poczytywać aktu, do którego zmierza projekt prawa, odrzucający na bok wszelkie uznanie pokrewieństwa narodowego i pewną wspólność interesów rosyjsko-polskich. Kiedy w systemie rządzenia krajem robią się wyjątki dla niektórych części ludności, i to wyjątki, mające na celu unicestwienie resztek samoistności narodowej i zastąpienie jej panowaniem nad tą ludnością mocniejszego, a nienawistnego jej sąsiada, to dla podobnego postępowania ludzkość nie zna innej nazwy. Jest to tylko jeszcze jeden czyn ciężkiej teutońskiej ręki, tak swobodnie gospodarującej w dzisiejszej Europie. Niewolno tamować żadnej samowoli baronów w naszych prowincyach nadbałtyckich, ale można niszczyć resztki samorządu w prusko-polskich prowincyach. Za zabezpieczanie się od samowoli niemców w gub. nadbaltyckich ma nastąpić pogróż-

ka odwetu, a na ucisk polaków w Prusiech żądają, aby Europa się zgodziła. Takie to są nasze czasy z ich siłą polityczną, wcieloną w jednej osobie i z bezsilnością ogarniającą wielu takich, którzy powinniby mieć siłę. Niewielka stosunkowo ludność polska w Prusiech, zmniejszająca się z każdym dniem wskutek stałych środków germanizacyjnych i nadzwyczajnego rugowania tysięcy ludzi, ma teraz tem więcej powodów trzymać się zacięcie swojej narodowej samoistności. Mocny wróg, szczerze nienawidzący cudzej narodowości i rzeczywiście zupełnie jej obcy, postanowił zadać jej nowy ciężki cios. Przez uporczywą obronę pokrewnych interesów, przez energiczne przeciwdziałanie niwelacyi niemieckiej, należy bronić się od następstw tego ciosu, które w końcu nie mogą doprowadzić do żadnego innego rezultatu, tylko do zupełnego unicestwienia narodowości polskiej w Prusiech. Dla wandalizmu teutońskiego, wypływającego z jedynowładztwa niemieckiego w Europie, wybije kiedyś, dajmy na to, ostatnia godzina, a owo *kiedyś* może nie być tak bardzo oddalone, jak to sobie czasem wyobrażają. Wówczas trzeba będzie położyć koniec wandalizmowi w ojczystych Prusiech i wyrzec się obrony samowoli niemieckiej w prowincyach nadbałtyckich. Chaos współczesnych wypadków politycznych nie jest znowu tak wielkim, aby mógł trwać bardzo długo, aby chociaż jakikolwiek porządek, podyktowany przez doświadczenie polityczne Europy, w nim nie zapanował. Początek porządku będzie zarazem końcem niemieckiej samowoli i przemocy nad innemi narodowościami.“

Bodajby! Tymczasem nietylko my, mała i bezwładna drobina w systemacie politycznym Europy, ale państwa potężne znoszą cierpliwie „samowolną gospodarkę teutońskiej ręki.“ Nad nami krzyżak już odmówił swój morderczy pacierz i wypowiedział *amen*, ale nie jest to amen modłów innych społeczeństw, które coraz głośniej błagają swych „ojców“ o „zbawienie od złego,“ od panowania niemców nad światem. Ta straszna, piekielna moc będzie złamaną, ale *kiedy* wybije ta pożądana przez wszystkich godzina, którą przepowiada *Russ. Kurrier?*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Poczciwy Schnaeble zniknął z widowni publicznej—i skończyły się dla prasy „piękne dni Aranjuezu.“ Niejeden kirgiz wołałby, jak bohater Zielińskiego, że go „nuda zabije,“ gdyby tego rodzaju wyznania wolno było robić przed czytelnikami, łaknącymi ciągle: zachmurzonych widnokręgów, czarnych punktów, złowrogich komet — słowem, znaków bliskiej wojny. Polemika *Nord. Allg. Ztng* z gazetami austryackiemi zamknięta od chwili, gdy z Berlina oświadczono, że „jej ostrze nie było zwrócone przeciwko Wiedniowi.“ Przeciągają spór jeszcze dzienniki rosyjskie, których gasnące iskry zapału rozdmuchał list p. Tatiszczewa do *Moskows. Wiedomosti*. Były dyplomata w długim wywodzie oświadcza, że istotnie Rosya przed kongresem berlińskim dwukrotnie porozumiewała się z Austryą, ale bezskutecznie. Tak czy owak, prasa rosyjska ze wszystkich tych odkryć, tłomaczeń i domysłów wyciąga słuszny poniekąd wniosek, że „przyjaźń“ niemiecka była systematycznem oszukiwaniem sąsiadki i przebiegłą obłudą. „Ta mistyfikacya ordynarna — piszą *Mosk. Wiedomosti* — przykryta cechami polemiki, ma za cel skłonić lekkomyślność naszą ku polityce ks. Bismarka“— „ogłupić już i tak zbałamuconą opinię publiczną w Rosyi.“ Wszystkie pisma składają przysięgę, że to się niemcom nie uda.

Gen. Boulanger zamierzył uruchomić „na próbę“ kilka korpusów armii. Jeżeli słynne baraki, deski, owce, Schnaebele— jeżeli te wielkie wypadki posłużyły niemcom za powód do zrobienia wrzawy, to cóż dopiero mówić o tem uruchomieniu! *Krieg im Sicht* brzmi znowu w szeregach straży nad Renem, a jeśli ks. Bismarkowi będzie potrzeba, prócz zyskanych 100 kilkudziesięciu milionów marek kredytu dodatkowego na cele wojskowe, z pewnością każe gadzinowcom znowu malować dyabła w postaci Boulangera. Tymczasem Francya, znudzona już obecnym gabinetem, zamierza go wrzucić między graty i na lato sprawić sobie nowy.

Goblet już spakował swoje rzeczy, przewidując, że będzie musiał ustąpić przed kwartałem. Jakoż wymówiono mu mieszkanie. Kto po nim nastąpi — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że w składzie przyszłego ministeryum musi zostać gen. Boulanger.

Anglia szamocze się ciągle ze skutkami swego surowego bilu przeciw irlandczykom, którego sprawa przybrała szczególny obrot. *Times*, niewątpliwe zasilany dowodami przez konserwatystów, ogłosił naprzód (w litograficznej podobiznie) list Parnela, a potem wystąpił z szeregiem twierdzeń, piętnujących ligę irlandzką zarzutem wspólnictwa z tajemniczemi morderstwami. Parnel wyparł się listu, jego bliżsi i dalsi przyjaciele zażądali surowych kar na *Timesa* za obrazę członka parlamentu Dilona — ale Izba zgodziła się tylko na pociągnięcie dziennika do zwykłej odpowiedzialności sądowej, której on wcale nie chce uniknąć, prawdopodobnie zaopatrzony w dowody kompromitujące parnelistów i gladstonistów.

Belgię nawiedziły znowu groźne rozruchy robotnicze. Zmowa z Hainaut rozszerzyła się na przyległe okręgi górnicze i objęła całą niemal Belgię południową. Kilka tysięcy robotników ogłosiło bezrobocie. Wojsko, policya, władze administracyjne i fabryczne zaledwie utrzymują względny porządek — buntu stłumić dotąd nie zdołały.

Zdaje się, że awantury studentów niemieckich (głównie żydów) przeciw prof. Maasenowi dogasają. Przez kilka dni uniwersytet musiał być częściowo zamknięty. Przykro to patrzeć na taką „Odę do młodości.“

Prasa szeptała o zamiarze regentów bułgarskich ogłoszenia niepodległości zjednoczonego narodu. Jeśli istotnie mieli taką myśl, ktoś im ją przed urzeczywistnieniem ryzykownem odradził.

Wogóle drobnych lub zadawnionych waśni w Europie nie brak, ale Leon XIII, który wszystkim nastręcza się jako rozjemca, nie znajdując należytej gotowości przyjęcia jego pośrednictwa, zaczął znowu myśleć o sobie. Jego organy przestały określać „warunki“ zgody papieża z królem włoskim, ale Watykan nie przestał myśleć o dobrowolnem zniesieniu swego „dobrowolnego“ więzienia.

MIKOŁAJ ZYBLIKIEWICZ.

Nie była to sama krewkość temperamentu, która odróżniała świeżo zgasłego luminarza Galicyi od innych jej przewodników; na tę odmienność złożyło się również szczepowe i społeczne pochodzenie. Zyblikiewicz był rusinem i synem „kapotowego łyka“ w Starem Mieście pod Samborem. Nie wniósł on do życia ani zwyrodnień

---

1)

ZŁOCZYŃCA.

(SZKIC).

I.

Na wzgórku stał dwór wiejski. Z zachodniej strony w głębokim, ciemnym jarze zasiadły tłumnie drzewa i skrycie szeptały podania o minionych wiekach.

Były to sławne czasy! Przodkowie dzisiejszych mieszkańców jaru władali całym obszarem — jak wielkie Podole— i dalej aż do morza. Liche zielska lizały im stopy, dziękując za błahe promyki światła, okruszynami spadające z wielmożnych stołów...

Tak działo się przez długi szereg lat, aż zjawiła się ruchliwa, dwunoga istota — nędzna, bo jej pnia nagiego nie okrywał żaden listek, marna, bo nieumiejąca przymocować się korzeniami do rodzinnej ziemi, a jednak... wytępiła całe pokolenia dumnych i zasiedliła ziemię przybyszami z dalekich krajów, mizernemi, ździebłowatemi roślinami. Dziś potomkowie słynnych rodów muszą kryć się w niedostępnych dla pługa zakątkach.

Ciżba tedy była nie lada. Tratowano się wzajemnie, wyrywano sobie łakomie każde światełko, każdą piędź gruntu... a ten, kto zdołał wznieść głowę po nad inne mierniejsze istoty, otaczał je takim mrokiem, że więdły z trwogi i usychały. Rzecz dziwna: ryby w matni nie pożerają się wzajem, a drzewa i ludzie tem zawzięciej się niszczą, im szczelniejsza matnia.

Śmielsze i przemyślniejsze z tłumu drzew wspięły się po nad krawędzie jaru i obsiadły jego brzegi... Z czasem zdobyły sobie tu prawo obywatelstwa, lecz w szczupłych granicach kilkunastu kroków. Rzucać nasiona po za ten obręb, znaczyło marnować siły: młode pokolenia, obiecujące wiele na przyszłość, ginęły pod żelazem... pługa. Nad krawędzią osiadł i książe tego zakątka — potężny dąb. Gałęzie rozpostarł dumnie, jak za dobrych czasów, bo gdy jednemi zaglądał do jaru, drugie rzucały cień aż za granicę jego teraźniejszych posiadłości; wyniosłą głowę mocarza wieńczyła suta korona, nad którą rodzina bociania klekotała wieczorne pacierze.

Na dnie jaru cichy strumyk przedzierał się starannie przez gąszcze, nareszcie wyrwał się na świat, otrząsnął z swego oblicza mroczne cienie, dobiegł pagórka, owinął półkolem jego podnóże i potoczył się po błoniach — het na południe — długą, szklistą wstęgą. Tu gromada zarośli przybliżyła się do prawego brzegu strumienia i spoglądając ciekawie na jego ruchliwe życie, poruszała głowami, snać dziwiła się niestateczności sąsiada: błonia tak ponętne, zachodzące słonko tak hojnie sypie promyki, one same tak troskliwie ochraniają go od natarczywości zachodniego wiatru— czegoż więc szuka? czemu niespokojne myśli wciąż go nurtują?

Z dalekiej północy dążył szeroki gościniec, okolony potężnymi bukami. Między ich grona—jak dzieweczki w procesyę starców — wplotły się brzozy białolice. Dotarłszy do pagórka, gościniec przekroczył most nad strumieniem, wspiął się po pochyłości i zatoczył po obszernym dziedzińcu; lecz widząc, że przejścia zatamowane ogrodzeniem i budowlami, rozczepiwszy się na dróżki i ścieżyny, zwijał się między zabudowaniami, wdzierał do ogrodu, a jedną z odnóg wymknął się aż za zagrodę, spuścił z pagórka, wbiegł na krawędź jaru, pędził krótko wązkim pasem, oddzielającym drzewa od zbóż, dotarł do dębu i strwożony jego postawą, nagle wpadł między zboża i pomknął gdzieś w południowo-wschodnią stronę.

Jednak tą awanturniczą wycieczką snać nie zadowolił się, bo stojąc nad łożyskiem rzeczki przed wzgórzem, namyślał się co ma zrobić... Poszukiwania na dworze i za dworem nie doprowadziły do niczego; więc za-

fizycznych i moralnych arystokracyi, ani bezpłodnych upodobań szlacheckich, całego paraliżującego wolę i wykrzywiającego zdolności dziedzictwa ludzi, którym los wyznacza w Galicyi stanowiska przodowe; lecz wniósł krew zdrową, umysł energiczny, wzrok bystry i daleki, ambicye na koniec długiej i ciężkiej drogi rzucone. Fortuna nie wsypała mu z rogu obfitości do kolebki przywilejów, tylko ukazała w dali zawieszone wieńce wawrzynowe. Docierał do nich wytrwale.

Ukończywszy gimnazyum, zarabia przez czas jakiś na chleb nauczycielstwem prywatnem. Następnie przechodzi wydział prawny i zajmuje się adwokaturą. Z pomocą łaski pańskiej, otwierającej i zamykającej drogi działania publicznego, zdobywa mandat poselski. Zostaje burmistrzem Krakowa, wreszcie marszałkiem sejmu galicyjskiego, którego laskę wskutek niewyjaśnionych przyczyn dobrowolnie złożył. Mówiono, że uczynił to dla zdrowia, o czem wątpimy, bo chociaż tacy ludzie, jak Zyblikiewicz, również chorują, dla zdrowia steru nawy krajowej nie opuszczają.

Za rządów Hochenwartha i Auersperga Zyblikiewicz był dwukrotnie kandydatem do teki ministra dla Galicyi. Zdystansowali go inni przewagą bardzo zrozumiałą. Bo chociaż cieszył się on względami sanhedrynu stańczykowskiego, zawsze brakło mu czegoś zarówno w pochodzeniu i w charakterze, co przeszkadzało do odgrywania ról pierwszorzędnych. Mieszczanin bez herbu, wyznawca kościoła grecko-unickiego, a przytem szorstki, nieopiłowany, czy mógł być wyobrazicielem galicyjskiej prawomyślności?

Na stanowisku burmistrza, zarówno jak na stanowisku marszałka sejmowego, zasłużył się krajowi rzetelnie rozumem i energią. Dzięki skalistości gruntu działania, czyny te nie mogły rozrastać się do rozmiarów wielkich i musiały stanowić szereg drobnych. Gdzieindziej miałby głośne i lśniące tytuły sławy; w Galicyi skazany był na tryumfy nieokazałe, miejscowemi potrzebami ograniczone. Wyrzucano mu rubaszność i samowolę. Dużo wart człowiek, którego najważniejszą wadą jest tylko chropowate obejście; kto zaś zna warunki i czynniki życia galicyjskiego, ten wie, że tam bez pewnego samozwaństwa, bez pewnej dyktatury bez równoważenia zbiorowej niezaradności wolą jednostkową — niewiele dokonać można. Zyblikiewicz często stosował regułę Wielopolskiego: nie z wami, ale dla was.

Śmierć jego jest ciężką dla Galicyi stratą. Był to nieraz wicher, ale dostarczający jedynej siły ruchu leniwym kołom maszyny. O ile człowiek rzutkiej myśli i sprężystej energii, czyniący innym dobrze nawet pomimo ich woli, zasługuje na wdzięczność, o tyle ona należy się Zyblikiewiczowi. Ta mocna natura nie zdarła się w pracy, dopiero złamała ją choroba, której 61 rok życia już odprzeć nie zdołał.

Pogrzeb Zyblikiewicza odbył się w Krakowie kosztem publicznym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OPUSZCZENI.

Co znaczą wciąż zwiększające się szeregi byłych oficyalistów wiejskich, którzy pozbawieni miejsca, przybywają głównie do Warszawy, pomnażając i tak już liczny tutejszy proletaryat? Co robić z ludźmi, będącymi przeważnie w sile wieku i energii, których los wpędza na zupełnie nieodpowiedni i nietroszczący się o nich bruk wielkiego miasta?

Faktem jest, że ilość urzędników gospodarczych „bez chleba“ zwiększa się obecnie w sposób przerażający, a społeczeństwu, które już tyle nędzy wspierać musi, nowy przybywa ciężar.

Zanim pomyślimy o środkach ratunku, poznać należy przyczyny, powodujące ograniczanie źródeł pracy w tej dziedzinie.

Są one dwojakiej natury: pierwsze wypływają z przesilenia ekonomicznego; drugie — z braku instytucyj, któreby w jaki bądź sposób zabezpieczały byt pracowników warsztatu rolnego.

Usunięcie pierwszych nie leży na teraz w mocy ani jednostkowej, ani zbiorowej, bo zawierucha ekonomiczna, szalejąca nad całym światem, ustanie wtedy dopiero, gdy ludzkość obalić zdoła druzgocące wpływy kapitalizmu i uwolni się z pod jarzma osobników, które, zagarnąwszy w swe ręce najpotężniejszy czynnik ekonomiczny, kapitał, życiem społeczeństw rządzą w imię własnych tylko interesów. Obecnie, jako następstwo monopolu złota, słabsi lub zupełnie bezsilni uginać się muszą pod potęgą, przewodniczącą sprawom świata.

Te gromady rodzin bez jutra, opuszczające wieś, która im do tej pory matką-karmicielką była, albo należą do pracowników gospodarczych, wyłącznie rolnictwu oddanych, lub też pochodzą z niemniej licznego zastępu oficyalistów fabryk cukru. Chlebodawcy pierwszych zmuszeni wprowadzać znaczne oszczędności do swych budżetów i bezpośrednio zajmować się pracą, którą do tej pory zastępcom powierzali, nie mogą być bezwzględnie o złą wolę pomawiani, bo ratując byt własny, uciekać się muszą do środków ostatecznych; względnie jednak ciąży na nich wina niemała, bo z dawien dawna z nagannem lekceważeniem spoglądali na byt i przyszłość najbliższych swych towarzyszów i pomocników. Co zaś do akcyonaryuszów i właścicieli fabryk cukru, ci wierni zasadom, jakie cechują plutokracyę, ani pomyślą o losie ludzi, którzy przez wiele lat pracowali dla nich i trudem własnym podnosili olbrzymie dywidendy bankierom. Panowie cukrownicy z rzadką zręcznością potrafili odsunąć od siebie następstwa przesilenia wywołanego gorączkową i nieproporcyonalną produkcyą towaru. Podniósłszy niesłychany lament, potrafili zaniepokoić państwo o całość jego budżetu, a wyzyskawszy do ostateczności pomoc władzy, połknęli kilka drobniejszych ryb, które się wśród nich plątały, i ostatecznie znaną „konwencyą“ utrzymali równowagę w przedsiębiorstwie zapewniwszy sobie powrót dawnych, złotych czasów. Ale w tej kampanii, zwycięztwem możnowładztwa zakończonej, znalazły się ofiary; z jednej strony plantatorowie poddać się musieli znacznemu zniżeniu cen za buraki, z drugiej — setki oficyalistów fabrycznych poszły na grzyby; bo akcyonaryusze „dla oszczędności“ uznali za stosowne połowę ich oddalić, a na drugą rozłożyli cały ciężar pracy.

Tak więc rolnictwo i ściśle z nim złączone cukrownictwo, powodowane rzeczywistą lub upozorowaną oszczędnością, dostarczyły nowej rzeszy biedaków ubogiemu krajowi.

Odwoływanie się do altruistycznych uczuć chlebodawców nie wiele by zdziałało. Sobkowstwo i obojętność zbyt w pewnych sferach zapanowały, żeby można opierać nadzieję ulżenia nędzy na poczuciu obywatelskich obowiązków wśród ludzi, którzy po za granice własnego interesu, wzrokiem nie sięgają.

Lecz przypuściwszy nawet, że obecne ofiary przesilenia, czy obojętności, skazane są na zagładę, winniśmy przyszłości społeczeństwa oszczędzić troski podobnej, jak obecna i spiesznie pomyśleć o środkach, zabezpieczających byt i starość licznej klasie oficyalistów przemysłu rolnego.

Jedyną tu drogą będzie zakładanie dla nich kas.

---

toczył przed mostem półkole i popędził na południo-zachód, okalając szeroką taśmą rozległe błonia. Buki i brzozy pobiegły za nim, lecz zaledwie zrobiły parę staj, musiały się zatrzymać przed groźnym szykiem klonów, dążących z przeciwnej strony.

Po za tem cała przestrzeń między błoniami, jarem i gościńcem zalana była morzem falujących kłosów. Promyki słońca lubowały się w ich młodziutkich, jeszcze zielonawych główkach i dając światło rady, zachęcały do dojrzałych czynów.

—o—

Słońce pochyliło się ku ziemi, wpadło do falujących kłosów i utonęło.

Za jarem rozległ się dźwięk rogu—stada zbliżały się ku zagrodzie.

W jarze zadźwięczały trele słowika.

Na dziedzińcu przed stajnią stał barczysty chłopak; włosy czarne, skołtunione jak kępa torfowiska, okrywały mu głowę; brwi i rzęsy gęstsze, niż zarośla nad strumykiem, ocieniały szklistą powierzchnię oczu. Był to Wasil, woźnica. Popatrzył wkoło, mruknął jak stary niedźwiedź i ponuro zwiesił głowę:

— I ptaszki śpiewają, i bydło ryczy, i konie rżą: wszystkim wesoło, a człowiekowi jak bieda, tak bieda.

Rzekł machnął ręką i powlókł się przez dziedziniec do izby czeladnej.

Gdy wszedł, w pieczurze pląsały wesołe płomyki, folwarczna dziewka zwijała się u kotła, w którym kipiała strawa; karbowy, siedząc na ławie, stękał i wyrzekał na *katorżne* życie.

— Ot tak — prawił jednotonnym głosem — od rana do wieczora haruj, a zdechniesz i pies po tobie nie zawyje. Taka już chłopska dola...

Wasil osunął się na ławę przed piecem i zapatrzył się w ogień; karbowy ciągnął dalej:

— Czego ty, durniu, chodzisz jak pod ziemią? Pluń i dosyć... Z Marylką piwa nie zwarzysz... Nie para tobie... Ona nie bardzo chce i gadać z nami... Jeszcze onegdaj tłomaczyłem jej: co tobie panowie? A ona jak nie wytrzeszczy oczu: wielka osoba twój Wasil!.. z jakiej to niedoli miałabym wychodzić za hołysza? Na mnie nie tacy popatrują; zechcę, wyjdę za syna sołtysa — przynajmniej gospodarz.

Karbowy splunął i dodał: at, gdzie tobie!...

Zamilkł; po chwili znowu mruczał:

— Widzisz bo Wasilu, poczciwy człowiek musi harować, a zbóje panują... Ot, choćby i sołtys — sam pamiętam, był takim, jak my, chudo-pachołkiem; a skąd te bogactwa? Różnie gadają... ale co prawią, że mu *latawiec* nosi pieniądze— to wy mysł. Będąc jeszcze parobczakiem, woził raz do miasta żyda-kupca, a gdy powrócił, i pieniądze się zjawiły. Od tego czasu poszedł w górę. Ludzie szeptali, że żydek w grzęzawicach leży — wiesz, w tym przeklętym jeziorze — pogadali, pogadali i przestali, a sołtys panuje...

Karbowy zamilkł, wydobył z zanadrza lulkę, podszedł do pieczury, zakurzył i pykając, cedził słowa przez zęby.

— Już kiedy kto dureń, to dureń... Po co tobie było chodzić do pani? Gadaj co chcesz, a pokojowa bliższa pani, niż my. Prawdę mówiąc, ja podejrzywam, że pani nawet rada mieć przy sobie Marylkę — nie napróżno ją tak ubiera, jakby panienkę. Dziewczyna gładka; jeśli wpadnie paniczowi w oko, to gdy ten powróci do domu, może na dłużej zostanie. Bo sam pomiarkuj: czyż to matce przyjemnie jedynego syna prawie nigdy nie widzieć.. Przyjedzie na chwilę i znowu smyk za granicę... a ileż to pieniędzy wywozi! Zaprzeszłego roku, gdy wyjeżdżał, taką moc miał dukatów, że aż strach było patrzyć. Żeby to biednemu człowiekowi tyle, całe życie byłby panem, a dla niego — co?... Jak psu mucha: połknie i ani znaku...

Lulka zgasła. Karbowy zwrócił się do pieczury.

Dziewka, korzystając z przerwy, nieśmiało wtrąciła:

Kto instytucye takie do życia ma powołać, a raczej na kim ciąży *obowiązek* inicyatywy w tym kierunku?

Zdawałoby się, że bezpośrednio interesowani powinni dać początek. O ile kasy takie mają być oddane na usługi pracowników fabryk cukrowniczych, inicyatywa wyjść musi od nich. Do tej pory nie pomyśleli oni o niczem podobnem, a, o ile nam wiadomo, jedyny projekt, jaki wyszedł przed laty ze strony pewnego administratora cukrowni na Podolu, spotkał się z najzupełniejszą obojętnością i nie poparty wcale pomnożył tylko szereg zacnych a nieurzeczywistnionych pragnień. Być może, że doświadczenie, które tak twardą naukę dało pozbawionym miejsca, będzie pobudką dla szczęśliwie z rozbicia ocalonej reszty.

Ale jeśli taka samopomoc możliwą jest w sferze ludzi inteligentniejszych, jakimi bez wątpienia są pracownicy przemysłu cukrowniczego, to na chwilę nawet marzyć nie można, żeby podobna przezorność objawiła się wśród oficyalistów folwarcznych, umysłowo na bardzo nizkim poziomie stojących i zbyt przytłoczonych pracą fizyczną. Tu sprawę począć powinni chlebodawcy, to jest — posiadacze większej własności.

Nie odwołujemy się do ich uczuć obywatelskich lub filantropijnych, bo, niestety, kto trzeźwo patrzy na położenie, wiedzieć musi, że w sferze tak zamrożonych uczuć takie hasła przebrzmiewają bez odgłosu. To też nie przypuszczamy naiwnie, ażeby najserdeczniejsze odezwy zdołały tu co zrobić, ale „na zimno“ i realnie można przekonać chlebodawców wiejskich, że własny ich interes nakazuje zorganizować w ten sposób uposażenie i przyszłość oficyalistów, żeby ci z większym spokojem oceniając byt własny i zapewniwszy sobie kęs chleba na starość, z tem większą gorliwością i uczciwością spełniali powierzone im obowiązki.

Wszelkie nadużycia i opieszałość w służbie, na jakie narzekają właściciele ziemscy, wypływają głównie z braku dostatecznego ubezpieczenia przyszłości pracownikom gospodarczym. Rzadkie tylko osobniki dopuszczają się nadużyć z powodu złych skłonności, przeważająca zaś większość, jeśli popełnia czyny nieprawne i nieuczciwe, czyni to w ostateczności i powodowana tą rozpaczliwą myślą, że w razie kalectwa, starości lub śmierci, pozostała rodzina pogrążoną zostanie w najcięższej nędzy. O ile nawet takie pobudki warte są potępienia, o tyle nie już obowiązkiem, lecz interesem chlebodawcy jest osłonięcie się przeciwko możliwym wykroczeniom i zapewnienie sobie w pomocniku chętnego, uczciwego i ze swobodną myślą w przyszłość patrzącego pracownika.

Dzisiejsi oficyaliści wiejscy — to ludzie, z najwyższą niechęcią wykonywający pracę zawodową, to woły robocze, których tylko obawa o byt codzienny do jarzma zaciąga, to istoty zaniepokojone o jutro, nieprzywiązane ani do roli, ani do jej właściciela, bo dla każdego z nich ostatecznym kresem kilkudziesięcioletniego czasem trudu jest — nędza.

Jakże się zaś położenie zmienia, gdy oficyalista ma pewność, że w razie kalectwa lub choroby dłuższej, ani on, ani rodzina jego biedy nie zazna; z jaką przyjemnością pomyśli, że po latach pracy, odkładając drobne kwoty na oszczędności i opłacając składkę emerytalną, stworzy sobie byt spokojny i będący zasłużoną nagrodą uczciwie spędzonego żywota! Ci sami ludzie, których dziś pomawiamy o próżniactwo, niechęć i złą wolę, mając instytucyę, asekurującą ich przed wypadkami losowymi i niemocą w wieku późnym, staną się gorliwymi pracownikami.

Czy zatem nie jest interesem posługiwanie się pomocnikami, którym mienie swoje z bezpieczeństwem powierzyć można?

A tak mało ku temu potrzeba! Wszak składki do kas przezorności i emerytalnych wnosić będą sami ich uczestnicy, a pracodawcy powinni im tylko ułatwić powstanie instytucyi, tyle dla nich pożądanej i koniecznej. Czy właściciele ziemscy zdobędą się na taką choćby odrobinę dobrej woli, któraby świadczyła o ich dojrzałości umysłowej i poważnem pojmowaniem stanowiska? *).

Początki w tym kierunku, a raczej wzór doskonały, dała nam Galicya, którą z takiem lekceważeniem, w wielu razach zasłużonem, traktujemy. Tamtejsza instytucya oficyalistów prywatnych, w pełnym rozwoju będąca, olbrzymie już wyświadcza usługi. U nas, Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, przedewszystkiem zaś jego sekcya rolna, mają wszelką możność i łatwość opracowania i zorganizowania kas: przezorności (lub zaliczkowo-wkładowej) i emerytalnej dla oficyalistów prywatnych. Wprawdzie te nasze sekcye rolne opłakaną przechodzą kolej, bo łódka po kilkumiesięcznem istnieniu rozwiązała się dla braku uczestników i spraw (!!!), a warszawska potrzebuje piżma na wzmocnienie; lecz może nabierze sił a wtedy i bieg swych działań przyspieszy. Zanim to jednak nastąpi, należałoby zrobić wyjątek dla sprawy, którą tu podnosimy i odrzuciwszy na chwilę wnioski protekcyjne (jedyny *cheval de bataille* tutejszego Towarzystwa) przystąpić do założenia instytucyi najpilniejszej i najpożyteczniejszej!

R.

*) Przed laty kilku piszący te słowa w pewnej okolicy na zebraniu ś. p. konferencyi rolniczych, postawił wniosek tyczący się zabezpieczenia losu oficyalistów. Odpowiedziano mu, że rolnicy, zanim innymi opiekować się zaczną, wprzód o sobie pomyśleć muszą... Była to odpowiedź wysoce charakterystyczna! Oponenci zapomnieli, że byt ich ściśle związany jest z bytem urzędników gospodarczych, którzy, o ile są dzielniejszymi pracownikami, o tyle skuteczniej współdziałają w podniesieniu zamożności rolnika. Być może jednak, że od tej pory przekonania się nieco zmieniły i właściciele rozumieją już, jaka łączność panować powinna między współczynnikami pracy.

BADANIA NAUKOWE.

RENAN W COLLÈGE DE FRANCE.

I.

Paryż, 12 maja.

Paweł Bourget, rozbierając znamienne dążenia wieku w dziełach nielicznych, lecz typowych myślicieli, nie mógł pominąć Renana. W *Essais de psychologie contemporaine* zajmuje on miejsce jako przedstawiciel „dyletantyzmu.“ W samej rzeczy, żaden wiek nie znał tylu dyletantów, co obecny; spotykamy ich wszędzie, w najrozmaitszych dziedzinach, zarówno w nauce, jak sztuce — często w jednej i drugiej jednocześnie. W rozwoju tego złożonego zjawiska duchowego niepoślednią rolę odegrała specyalizacya nauk i zajęć, gubiąca się często w drobiazgowości. Dla człowieka nowożytnego stało się niepodobieństwem objąć cały obszar wiedzy ludzkiej, musi on się zadowolić gruntownem zbadaniem małej jej cząstecczki. Zdarzają się jednak umysły bardziej syntetyczne — rodzaj Faustów nowożytnych — którym to nie wystarcza; myśl ich, znużona i zniechęcona obracaniem się w jednej i tej samej kategoryi pojęć, wybiega aż nadto chętnie po za ciasne granice specyalności i szuka w przeróżnych kierunkach nowych wrażeń, któreby zaspokoiły jej

---

— Już co prawda, to prawda, że i nie łatwoby teraz Marylce przywykać do harowania... Czy to ona głodu, czy chłodu nacierpiała się? Nie wielka z niej pociecha.

— At, gadać — łaskawie zgodził się staruszek — ale kiedy to uparty jak kozioł — zawsze tak... jak weźmie do głowy, choć zabij!..

W tej chwili rozległ się na dworze głos pocztowego dzwonka.

— Panicz przyjechał! — zawołała dziewka i wybiegła z izby. Za nią posunął się karbowy. Wasil został sam: siedział na ławie nieruchomie, tylko od czasu do czasu ręce mu drgały, myślałbyś prądy elektryczne przebiegają po ciele. Niewyraźne myśli szeptały mu:

— Szczęśliwy sołtys! Nawet i pracuje niewiele, a jak się mu sąsiedzi kłaniają, jak pani z nim uczciwie gada... Żeby to człowiekowi pieniądze, inaczej by i Marylka śpiewała... Co tam karbowy gada, sołtys nie głupi.

To znowu pomyślał:

— Wiele to pieniędzy panicz traci za granicą!... Żeby to biednemu — całe życie byłby panem; a jemu co!.. I pieniądze połknie... i Marylkę połknie...

Gniewnie splunął, powstał i wyszedł z izby. Posępne myśli wlokły się za nim, jak cienie i niedawały mu spokoju cały wieczór, całą noc — i długi szereg dni...

—o—

Panicz był wesoły i po pańsku — dobry. W ciągu całego lata nie uderzył najmizerniejszego pastucha, ale żeby to posłyszeć od niego słowo ludzkie — napróżno. Jeździ przez cały dzień jak opętany; powróci, żal spojrzeć na konisko—biedne aż drży ze zmęczenia. Nieprzyjemnie było patrzyć Wasilowi na takie okrucieństwo; raz nawet ośmielił się poprosić, by panicz był uważniejszym, lecz nie zdało się to na nic. Dziedzic zdziwił się hardości, wytrzeszczył oczy i rzekł:

— A co tobie durniu do tego, jak jeżdżę! Nie dlatego mam konie i ciebie, byście się rozpasali...

O Marylce rozmaicie gadano: jedni mówili, że już zgubiona, a inni, że panicz na nią ani patrzy. Kto tam może wiedzieć... sama nie pochwali się.

Jesienią zaczęto szeptać, że panicz tęskni za cudzymi krajami, a pani płacze i nie chce go puścić... Aż razu jednego wpada do oficyny lokaj Piotr i mówi:

— Wasilu, zaprzęgaj konie, powieziesz panicza do miasta... Wyjeżdża *taki* za granicę.

Wasil drgnął i podskoczył... W oczach mu pociemniało, a w mózgu uparta myśl brzęczała, jak owad w upały:

Oj niemało pan będzie miał z sobą pieniądze!.. Gdyby to biednemu człowiekowi— całe życie byłby panem.

—o—

Konie stoją przed gankiem. Okna pokojów otwarte. Wasil, siedząc na koźle, widzi, jak pani liczy pieniądze. Tyle ich, że aż mrowie przechodzi go po skórze. Nareszcie staruszka skończyła.. całuje syna, wręcza mu pękatą sakwę, zawiesza krzyżyk na piers i znowu całuje... Panicz siada do powozu. Pani płacze — wiadomo — matka; ale czego ta podła Marylka chlipie?.. Wasil czuje, że z radością wplątałby palce w jej długie ciemne włosy — o gadzina!..

— Wasilu — mówi pani łkając — ochraniaj panicza, wiez dobrze.

Wasil mruknął, kiwnął głową, lecz nic nie odrzekł: nie spojrzał na panią, jak gdyby się lękał jej wzroku... Ręce woźnicy drżały, konie wspinały się. Ruszyli.

Za wsią spotkali sołtysa uśmiechniętego, zadowolonego, w juchtowych butach, wysokich aż za kolana, w nowej świtce, przepasanej szeroką dzianą z białego surowcu: mosiężna klamra aż mieni się na słońcu. Przypomniało się Wasilowi, skąd ten dobrobyt — i wyraźnie słyszał, jak ktoś szepnął nad uchem: a co? widzisz!..

—o—

Był wieczór; do miasta zostawało tylko dwie mile, gościniec wbiegł do jaru. Nieruchome drzewa szczelnie otulały drogę, dopuszczając mętnego odblasku zorzy tylko tyle, ile trzeba... Wasil rozejrzał się. Oto

wszechstronną ciekawość. Dlaczegóż poznawać jedną tylko prawdę, dlaczego miłować jedną tylko piękność, skoro ich jest tyle na świecie, a nie wiadomo, która lepsza— użyjmy więc każdej z nich, chociażby przelotnie — powiadają dyletanci. Są oni przedewszystkiem subjektywni: maximum przyjemnych wrażeń, oto wyłączny niemal cel, do którego dążą. Pojmując w ten sposób dyletantyzm, możnaby go nazwać epikureizmem umysłowym; jako taki idzie on często w parze z epikureizmem zmysłów. Idealnym typem dyletantyzmu jest boski Leonardo da Vinci, który w każdej z wielu dziedzin tworzył arcydzieła tak doskonałe, że potomność zaledwie śmie mu dać powyższe miano.

W stuleciu naszem jednym z najświetniejszych i najoryginalniejszych przedstawicieli dyletantyzmu, w szlachetnem tego słowa znaczeniu, jest niewątpliwie Renan. Szczęśliwym trafem mieści się w nim nadto i uczony pierwszego rzędu. Niepodobna zastować do niego zarzutu, często czynionego dyletantom, że wiedza ich jest szeroką, lecz płytką, wszechstronną, lecz powierzchowną. Wiadomo powszechnie, że Renan — to nietylko sławny literat i poeta, lecz też jeden z najgłośniejszych oryentalistów w Europie. Uchodzi za powagę w filologii semickiej i dziedzinach jej przyległych.

Szczupły zakres dziennikarskiego artykułu nie pozwala nam wdawać się w wyczerpującą charakterystykę wielostronnej jego działalności. Niepodobna się kusić o podołanie tak rozległemu i trudnemu zadaniu w granicach tak ciasnych. Umysł jego jest zjawiskiem niesłychanie skomplikowanem, składającem się z najrozmaitszych i najsprzeczniejszych pierwiastków psychicznych. Niepodobna go sobie przedstawić jako jednolitą całość, nie znajdujemy w nim jednej głównej, ponad wszystkie inne przeważającej zdolności lub tendencyi. Nie poddaje się on jednorazowemu określeniu, nie można go ująć w jakąkolwiek formułę. Można tylko uchwycić i przedstawić pojedyncze niektóre z licznych stron i właściwości tego tak bogato uposażonego ducha; lecz i wówczas nawet, kreśląc obraz bardzo niedokładny, nie jesteśmy zupełnie pewni, czyśmy go całkowicie wyczerpali. Jak mityczny Proteusz, w chwili gdy nam się zdaje, żeśmy go pochwycić zdołali, wymyka się on z rąk naszych, wciąż nowe, nieznane przybierając kształty. Bo pojąć Renana należycie i w całej pełni jego ducha, trzeba być nim samym, tj. istotą złożoną z tak różnorodnych żywiołów, że najosobliwsze myśli i uczucia żywe znajdują w nim echo. Organizacyę tego rodzaju możnaby przyrównać do bardzo czułego instrumentu muzycznego, który przy najlżejszem dotknięciu wydaje dźwięk. W umyśle Renana, tak subtelnym i delikatnym, myśl nie przybiera kształtów plastycznych, jak np. u Taine'a, lecz rozpływa się raczej w niepochwytnym odcieniu. Odcień rzeczy droższym jest Renanowi nad rzecz samą; w odcieniu widzi on wszystko. Styl Taine'a przypomina obraz o świetnych barwach i jaskrawym kolorycie, styl Renana — melodyę, pełną delikatnych, czarujących tonów.

Przypatrzcie się zbizka temu niezwykłemu człowiekowi, a zdumienie was ogarnie. Ma on wyobraźnię artysty, duszę kapłana, umysł sceptyka, nienasyconą ciekawość dyletanta. Ostatnia może wzrastała i rozwijała się w miarę tego, jak kapłan przestawał wierzyć w moc wiary, filozof — ufać w siłę rozumu. Pozostawał dyletantyzm artysty i uczonego.

Renan jest panem w jednej z najobszerniejszych i najciekawszych dziedzin wiedzy ludzkiej: zbadał najodleglejsze epoki cywilizacyi; wniknął w życie, wierzenia i język jednej z najstarszych ras świata; poznał zblizka powstanie najważniejszego i najbardziej tajemniczego objawu w historyi religii; przedstawił w licznym szeregu dzieł swoich początki chrześciaństwa, w którem się zeszły i stopiły trzy najgłówniejsze cywilizacye świata starożytnego — hebrajska, grecka i rzymska. Czy sądzicie jednak, że wiedza ta zaspokoiła w zupełności jego ciekawość? Bynajmniej. Żałuje on niekiedy, że się nie poświęcił umiejętnościom przyrodniczym i z lekceważeniem mówi o naukach historycznych, które mu jednak wypełniły pracowity żywot.

Uczoność nie przytępiła w Renanie zmysłu artystycznego. Nie stał się pedantem, nie przypomina w niczem owych niemieckich profesorów, którzy tak często podobni są do Wagnera z *Fausta*; poeta przewyższa w nim nawet uczonego. Głębokie poczucie piękna nadaje wszystkim utworom jego znamię artystycznego wykończenia, wytworną i czarującą formę, o której się nawet najzawziętsi przeciwnicy Renana z nietajonym podziwem wyrażają. Niepodobna czytać żadnej książki jego, chociażby specyalnie filozoficznej, bez estetycznego zadowolenia. Pragnienie piękna odzywa się w nim na równi z pragnieniem wiedzy — oba te uczucia mają wspólne swe źródło we wrażliwości, dążącej do ogarnięcia jaknajszerszego koła myśli i wrażeń, człowiekowi dostępnych.

Uczeni, którzy za przedmiot swych dociekań obrali starożytność, zatracają w sobie często poczucie rzeczywistości i przestają pojmować potrzeby chwili bieżącej. O Renanie powiedzieć tego nie można. Wprawdzie nie czuje on sympatyi do ekonomii politycznej, wzrost bogactwa społecznego i materyalny postęp narodów nie obchodzi go, lecz za to z drugiej strony zabierał niejednokrotnie głos w kwestyach współczesnych, a moralność, oświata i polityka znajdowały w nim wymownego rzecznika. Występował nawet jako kandydat do Izby i Senatu, lecz za jednym i drugim razem nie został wybrany.

Niedość jeszcze tych kontrastów. Syn ludu, potomek ubogiej bretońskiej rodziny, który często w młodości swej zmuszony był walczyć z niedostatkiem, nie hołdował nigdy zasadom demokratycznym. Przekonania jego są nawskroś arystokratyczne; i wzrost możnowładztwa ludowego i obecną formę rządu uważa za nieszczęście Francyi. Nic go tak nie razi, jak banalność i trywialność, które uważa za cechy ludu, zapominając, że sam wyszedł z jego łona.

Po przeczytaniu któregokolwiek z wybitniejszych dzieł jego doznaliście zapewne dziwnego wrażenia, nieokreślonej melancholii, smutku i zwątpienia. Widzieliście, że najdroższe wasze ideały są złudzeniem mniej lub więcej wątpliwem; że niema takiej niedorzeczności lub barbarzyństwa, któreby nie znalazły w swoim czasie gorących wielbicieli, wyznawców, a nawet męczenników; że niema takiej cnoty, którąby nie była prześladowaną; że rozum ludzki jest nieudolny, słaby i bezsilny; że niema takiej prawdy naukowej i moralnej, którejby nie można podać w wątpliwość — wszystko jest urojeniem, marnością. Jesteśmy igraszką wyższej siły, głuchej na nasze jęki, narzekania i żale, a świat cały widowiskiem, którem się ona zabawia.

Wyprowadzacie z tego wszystkiego logiczny i naturalny wniosek, że Renan jest beznadziejnym pesymistą i uważa się za takiego. Bynajmniej. Przy tem wszystkiem głosi on jawnie optymizm. Powiada, że zadowolony jest z udziału, który mu przypadł we wspaniałem widowisku wszechświata, nie żałuje, że żył; tyle w życiu bywa chwil pięknych i przyjemnych! „Świat ten — wola on — jest widowiskiem, które Bóg sam sobie daje; spełniajmyż więc zamiary wiel-

---

i dolina, która przecina jar; a tam na prawo w dolinie połyska oko moczaru... Wasil wie, że tu było jezioro, lecz kiedyś święty pustelnik przeklął je, więc powlokło się trzęsawicą, i tylko, dla dowodu bożej kary, został jeden otwór: jego głębi nikt nie zmierzył — ma być bezdennym.

— Kupiec sołtysa zapewne leży w tej paszczy — pomyślił Wasil i zatrzymał konie.

Wiatr przebiegł po wierzchołkach drzew... Woźnica wstrząsł się jak w febrze, wstrzymał oddech i słuchał—cicho... Panicz drzemie... Zwinnie jak pantera zsunął się z kozła, uwiązał lejce do jakiejś gałęzi, zaszedł z tyłu bryczki... i splótł silne ręce na szyi panicza. Rozległo się głuche, bolesne chrypienie, konie zamiotały się trwożliwie... Po chwili wszystko ucichło. Wasil odszukał trzos, wziął trupa na barki, powlókł go i wtłoczył do bagniska. Wrócił, siadł na kozioł... Drzewa znów zaszumiały; woźnica strwożył się ich szelestu, zaciął konie i popędził cwałem. Po powrocie z miasta, zdając sprawę z podróży, nie patrzył na dziedziczkę. Pojechał panicz i kwita.

—o—

Wasil ponury, Wasil mroczny; lecz cóż dziwnego! Wiadomo przecie, że to wszystko z przyczyny Marylki. Nieszczęsny chłopak, skończy się na tem, że rękę na siebie podniesie — tak szeptano, a on słuchał i drżał, by nie domyślano się rzeczywistości. Pieniądze, o których marzył tak długo, paliły ręce, ciężyły. Zagrzebał je w stajni pod żłobem; lecz niepokoju się nie pozbył. Widział we śnie, jak panicz straszny, chrypiący, wypłynął na powierzchnię moczaru: słychać tajemnicze szepty tłumu— oto wraz nadejdą, zobaczą go; więc z trwogą i wściekłością rzuca się do bagniska, wpycha trupa pod darninę; lecz ten porywa go za szyję, wlecze za sobą do przepaści i wyszczerzając długie, straszne zęby, woła: ha, złowiłem cię chamie! będziesz żałował koni? będziesz o Marylce myślał? ...Wasil krzyknął i zbudził się. Jakże się ucieszył, że to był sen tylko. Naprożno się cieszył! Odtąd mara co noc go nawiedzała, a przeklęty chryp nawet we dnie prześladował: to zawtóruje na trąbce pastuszej, to z żabą jęknie w stawie, to zasiądzie wśród drzew i tak zaskrzypi, zaskwierczy, że aż włosy stają na głowie.

Myśl straszna, że panicz mógł wynurzyć się z wody, nie daje Wasilowi chwili odetchnienia; więc pod pozorem zwiedzenia krewnych uwolnił się i poszedł do parowu. Sześć mil biegł — doszedł, spojrzał — żadnego śladu; tylko w tem miejscu, gdzie przywiązywał lejce do gałęzi, powiędłe liście leżą na drodze. Odetchnął swobodniej i poszedł napowrót. Szedł całą noc, śpieszył, powrócił do domu, a jednak nie usnął spokojnie:

— Dla czegom nie popróbował jakimś drągiem — pomyślał — a może trup gdzieś niedaleko leży? Może go ktoś dojrzy?

I znowu niepokoił się. A pani jak na złość, nie otrzymując listu, rozpytuje, jak było? co panicz mówił? gdzie zatrzymywał się? A płacze, a wyrzeka na wietrznika. Wasil kłamie, jak może, lecz każde z tych pytań piłuje mu serce wyszczerbionym nożem.

Trwoga bez wytchnienia przywiodła go w końcu do karczmy... Pił, hulał, sypał pieniądze i nie uważał, że karczmarz coraz podejrzliwiej nań patrzy. Pić musiał, bo wódka była dłoń ratunkiem — dawała chwilę spokoju. Aż nareszcie zbudził się skrępowany: nad nim stała policya oraz sołtys w nowej świtce i juchtowych butach.

(D. c. n.).

Brolis.

kiego przodownika w tym chórze (du grand chorège) i starajmy się uczynić przedstawienie o ile można świetnem i urozmaiconem!"

Wypowiadając poglądy, na któreby się mistrze niemieckiego pesymizmu bez wahania pisać mogli, Renan jest pomimo to pełen wesołości i nawołuje niekiedy do korzystania z życia. Rozwiązania tej zagadki szukać należy przedewszystkiem w szczęśliwej organizacyi, harmonijnem usposobieniu. Z drugiej strony zwątpienie prowadzić może nietylko do zrzeczenia się życia w zupełności, lecz przeciwnie i do używania go w całej pełni. Skoro wszystko jest znikomem, korzystajmy więc z chwili obecnej, żyjmy, póki czas, nie odmawiajmy sobie żadnej rozkoszy, którą nam życie dać może; śmierć nas nie minie, wszystkich czeka grób, a w nim zgnilizna i zniszczenie. Oto konkluzya epikureizmu, zarówno logiczna, jak i zasada, którą z jednakowego założenia wyprowadził stoicyzm. Renan teoretycznie (tylko w dziełach swoich, nigdy w życiu) niedalekim jest czasami od epikureizmu, co mu jednak nie przeszkadza uwielbiać największego ze stoików — Marka Aureliusza.

Renan nie jest zgorzkniałym pesymistą, ponurym Heraklitem—robi raczej wrażenie Demokryta, filozofa śmiejącego się, lecz z wdziękiem. Sam tak objaśnia swój dobry humor i pogodę umysłu:

„Jestem bardzo wesoły — rzekł on na bankiecie w Quimper — przedewszystkiem dlatego, że nie bawiąc się prawie wcale, gdym był młody, zachowałem pod tym względem całą świeżość mych złudzeń; dalej, co ważniejsza, jestem wesoły dlatego, że wierzę, iż w życiu mojem dokonałem dobrego dzieła; jestem tego pewien. W nagrodę nie pragnąłbym więcej, tylko rozpocząć na nowo. Żałuję jedynie jednej rzeczy, żem się zestarzał o dziesięć lat zawcześnie. Nie jestem literatem, lecz człowiekiem ludu—ostatnim punktem długich, nieznanych pokoleń wieśniaków i marynarzy. Korzystam z ich ekonomii myśli; wdzięczny jestem tym biednym ludziom, którzy dostarczyli mi przez swoją trzeźwość i umiarkowanie tyle rozkoszy i przyjemności.

W tem tkwi tajemnica naszej młodości.

Gotowi jesteśmy żyć wówczas, gdy cały świat nie mówi o czem innem, jak o śmierci. Częścią ludzkości, do której najbardziej się zbliżamy i która nas najlepiej pojmuje, są słowianie, gdyż znajdują się oni w położeniu podobnem do naszego, nowi w życiu i jednocześnie starożytni."

Nieprawdaż, dziwną jest ta apologia życia w ustach rodaka Chateaubrianda i Lamennais. Niemniej dziwnem wydaje nam się oświadczenie, jakoby słowianie w tak wysokim stopniu radzi byli życiu. Na dnie duszy słowianina tkwi znaczna doza smutku i żalu, rzewnego u polaka, smętnego na Ukrainie, głębokiego i ponurego na północy. Muzyka słowiańska jest jakby jego oddźwiękiem i wiernem odbiciem. Bretończyków naturalnie Renan zna lepiej, pomimo jednak jego zapewnienia, słyną oni jako rasa najbardziej do melancholii skłonna we Francyi.

Renan w usposobieniu swojem, w uczuciach pozostał nieodrodnym synem tej rasy. Pomimo całego swojego racyonalizmu i sceptycyzmu, zachował duszę mistyka, pragnącego wiary, szukającego nieustannie nieznanego bóstwa. Nikt tak silnie nie uczuwał potrzeby ideału, jak Renan, a uczucie to wzmagało się w nim jeszcze w chwilach zwątpienia. Uchodzi on powszechnie za człowieka, który podkopał chrześciaństwo we Francyi, a jednakże nie przestawał być nigdy chrześcianinem. Jakąż głęboką sympatyę ma on dla św. Franciszka z Assyżu! Nie bez pewnej racyi wyraził się o nim A. Daudet: „son cerveau est une cathédrale désaffectée."

J. Bekerman.

LITERATURA I SZTUKA.

DRAMAT JAKICH WIELE.

Sie war liebenswürdig, und er liebte sie; er aber war nicht liebenswürdig, und sie liebte ihn nicht.

Tyle wspólnego z ową starą sztuką, o której wspomina Heine, ma nowa powieść p. Maryana Gawalewicza p. t. *Gasnąca dusza*; różni się jednak od niej tem, że bohater rzeczywiście zabija się. Ah prawda! i nastrój melancholijny ten sam, bo jakżeby dzisiaj wyglądał utwór beletrystyczny bez okrasy rozpacznej? Twierdzi ogół, że na tym padłym świecie nie można tylko płakać i nudzić się a piśmiennictwo bardzo słusznie czyni, jeśli temu powszechnemu rozmiękczeniu ducha wtoruje. Być może — ale jednocześnie jest to ze strony literatury bezwstydne wyzyskiwanie słabostki publicznej. Znamy czasy, kiedy umiano wstrząsać czytelnikiem i bez pomocy łańcucha karawanów, a w umyśle potężnie ryły się wrażenia wielkich przejść i rozterek wewnętrznych, choć ich epilogiem nie zawsze bywały próby podniesienia cyfry śmiertelności — na szczęście bezskuteczne. A przecież o ile większej sztuki dokazuje artysta, mający na swej palecie nie same tylko ponure barwy!

Tak pogodny i krotochwilny w scenicznych swych pracach autor przybrał naraz ton niezwykle poważny i tragiczny. Przedstawił koleje życia rzeźbiarza, któremu na gorące łaknienie miłości odpowiadają chłodem i samolubstwem a za błyski geniuszu płacą płytkiem szyderstwem, niezrozumieniem i zawiścią. Natura, pełna szlachetnego zapału, świeża i twórcza, niepodsycana żadnym płomieniem zzewnątrz — gaśnie, albo raczej trawi się własną katuszą. Ukochana żona okazała się pustą lalą porcelanową, z trocinami w głowie i piersiach; dziecię, jedyne oparcie dla osieroconego serca — zmarło; opinia, zawojowana przez blagę i głupotę, rychło cofnęła swą łaskę. A gdy nareszcie los zaczął się uśmiechać, wydobywszy skądciś kilka dusz pokrewnych i przyjaznych, i zażegnał niebezpieczeństwo głodowej śmierci — było już zapóźno. Nie stało męztwa i ochoty do życia, apatya rozgościła się wszechwładnie, aż samobójstwem wypadło położyć kres zwichniętej karyerze.

Który z owych wrogich czynników najsilniej podkopywał spokój artysty? Brak wzajemności ze strony żony — ognisko domowe, niedające ciepła, lecz zgryzoty. Bądź co bądź w galeryi zapoznanych wielkości, dostarczających wątku powieściopisarzom, ta należy do jakiegoś nowszego pokolenia. Talent to dziwnie sentymentalny i mieszczański. Zwykliśmy widzieć w podobnych osobistościach temperamenty burzliwe, z mocno uwydatnionem „ja," a przynajmniej samoistne. Ulubieniec muz, czerpiący natchnienie jedynie z pieszczot małżeńskich— wygląda strasznie szlafrokowato. Filipa Morelli nie uratowały czarne, ogniste oczy i pół-włoskie pochodzenie, nie pomogły wzmianki o dumie. We własnej pracowni musiał on należeć nie do posągów marmurowych, lecz do szkiców glinianych, w dodatku wilgotnych od łez. Cóż stąd, że trzyma się zdala od balowego tałałajstwa i z pogardą na tłumy salonowców patrzy, skoro podatność wpływom najbłahszym składa się na wizerunek jakiegoś niewieściucha, dobrze wypasionego maminego synka. W całem jego postępowaniu daremnie szukasz jednego oryginalnego czynu, jednego dowodu nad-powszedniej siły. Przydomek polskiego Michała Anioła, zapożyczony od najpotężniejszego z umysłów, nadany człowiekowi, co jak liść osiny drży pod najlżejszym podmuchem wiatru, wzbudza w czytelniku niesmak i niedowierzanie. Ha! może tego stempla geniusze, lgnący tak do warunków bytu najzwyklejszych śmiertelników i niezdolni do zaznaczenia czemkolwiek swej indywidualności, są wiernemi odbiciami prawdy? Autor zaś rzeczywistość obrał sobie za mistrzynię? Niewesoło wtedy wyglądałby ów tak zwany świat artystyczny.

Bodaj czy nie najwięcej przypomina znakomitość rozpijaczony poeta Szalej. Z jego ust słyszy się przynajmniej frazesy odmienne od tych, które na ulicach zbierać można garściami. Jest to już prędzej arystokrata ducha, sponiewierany w błocie nałogiem, w który wpędziły go nieszczęścia. Dusza to nie tyle gasnąca, ile gaszona siebie rumem i gorzałką, ale w przebłyskach trzeźwych podniosła i oryginalna, naturalnie tą dziwacznością stałą i niemal szablonową, której rozmaici autorowie używają dla kontrastu; składa się ona zawsze z tych samych pierwiastków i cynizmu, paradoksów, pogardy dla siebie i innych.

Po za tymi dwoma rozbitkami stoi czerń, przedstawiająca publiczność. Z jednej strony kółko literatów bezmyślnych i prawie idyotycznych, ze zwykłem ogniskiem w knajpie, skąd wychodzą wyroki, mające rozstrzygać o losie nowych dzieł sztuki. Z drugiej — własna rodzina bohatera, bezduszna i bezmózga, goniąca za zbytkiem i zabawą, gotowa wstydzić się, że ma wpośród siebie rzeźbiarza. Tutaj p. Gawalewicz pozostał wierny stosunkom istotnym — ale tylko na daleką perspektywę. Motłoch zawsze i wszędzie tak rozumuje, jak w jego książce, ale zblizka przyjrzawszy się, nie znajdziesz w niej typów nowych, jako tako plastycznych; wszystko to są statyści niewyraźni, jak na każdym innym obrazie społeczeństwa.

Ostrego a głębokiego rozdźwięku między masą a jej męczennikami—w powieści jakoś nie widać. Ona po prostu za niedorzecznie sądzi, ażeby zachwiać mogła czyjąkolwiek wiarę w siebie— oni za mało ją przerastają. Trzeba więc było spotęgować grozę starcia deklamacyą, frazeologią, zapewnieniami, że naprawdę stanęły na wprost siebie dwa wzajem nierozumiejące się, wrogie krańce.

Tej gry wypadków, którą tak mistrzowsko układają francuzi, ażeby z niej myśl przewodnia dzieła sama się wysnuwała, niewykładana w obszernych komentarzach, *Gasnąca dusza* nie zawiera. Do wnętrza jej nie zajrzano dostatecznie, jak nie wydobyto na wierzch niczyich uczuć i wzruszeń. Psychologia ogólnikowa posiłkuje się co chwila sceneryą. Ustawiać grupy, wprawiać w ruch teatralny twarze, ręce i nogi autor umie wybornie — charaktery same przez się przemawiają słabo. W samej budowie i formie zostały ślady tej jednostronnej zdolności. Skutki poprzedzają zazwyczaj przyczyny. Wprzód powiadamiają nas o małżeństwie bohatera, a później podają sprężyny faktu. Najpierw spotykamy go na balu kostyumowym w ratuszu, a potem dopiero objaśniają nas, jak się to stało. Słyszymy o rozwodzie artysty z piękną Helą, ażeby po kilkunastu stronicach poznać przebieg i ostateczne powody tak ważnego przewrotu. Ułatwienie to rozwoju zdarzeń trochę bezceremonialne. Spiętrzony frazes raz wraz przewraca koziołka, wykrzywiony przesadą lub chybionem porównaniem. Wrażenia niespodziane i piękne wyobrażane są przez jaszczurkę, świdrującą mózg, szpilkę klującą go, albo zimną kroplę wody wpuszczoną w serce; odkrycie ruiny majątkowej to ręka, znajdująca „w pustej kieszeni pierwszy cierń kłopotów finansowych;" rysy jeśli piękne — to zawsze klasyczne. Opowiadanie ma nas wprowadzać w nie codzienną, odrębną dziedzinę, ma ukazywać dwie geniuszem zaznaczone istoty — ale czuć tylko dobre w tym względzie usiłowania. Rzekłbyś, autor chce, a nie może strząsnąć z siebie powszedniości, która jak gdyby właś-

wym mu była żywiołem i atmosferę całego utworu przesyca.

A jednak fabuła toczy się żywo i czyta z zajęciem. Taki to już przywilej owych dramatów inteligencyi, że choćby przesadzone i powtarzane — wiecznie czarem niespożytym nęcą. Toż znamy już tyle Rugpiutisów (*Sfinks*), Klaudyuszów (*L'oeuvre*), tyle razy sam Kraszewski temat ten i od tak dawna (*Poeta i świat*) opracowywał —że wyobraźnia mogłaby się znudzić. Nie—ona z jednakową chciwością zawsze te smakołyki chwyta. Rzeźbiarz ów, roztrzaskujący głowę młotem kamieniarskim — sprawia może za miękkie, za liryczne, ale duże wrażenie; jeno należało przenieść go na inny grunt. U nas bowiem opinia, jeśli zabija kogo, to przecież nie surowością, ani oziębłością, ale kadzidłami pochlebstwa. Chorobą krytyki polskiej jest zawsze i będzie nie smak wybredny — ale mania wynoszenia zer i miernot pod niebiosa, chyba że artysta należy do stronnictwa postępowego—no, a Filip Morelli, jak i twórca jego, są neutralni...

Cezary Jellenta.

Z ZACHODU.

XIII.

Lekcya antropologii p. de Lapouge. — Radykalizm w literaturze. — J. H. Rosny: Le Bilatéral.

We Francyi, gdzie na fakultetach brak wolnych katedr w znaczeniu niemieckich docentów — bo konferencye zwabiające imieniem znakomitego lub tylko modnego profesora miejscową arystokracyę, w poważny i ściśle naukowy kurs zamienić się nie mogą i stają się jeno jednogodzinnymi, gładkimi, treścią i stylem schlebiającymi gustowi słuchaczek odczytami — próba poważnego szeregu wykładów po za urzędowym stojących programem, więc nie pociągających zbytnio ani próżniaczej części młodzieży odwiedzającej prelekcye dla zabicia czasu, ani pracowitej, lecz zmuszonej nawałem pracy ograniczyć się do swej specyalności będzie zawsze dla sumiennego profesora hazardem niemałym; zwłaszcza, że jak aktorka na scenie, podobnie taki *agrégé* lub mistrz konferencyi zna dolę swą wypisaną z góry i jeżeli nie podoba się wpływowej koteryi — przepada. Dlatego z pewnym podziwem spoglądałem na odwagę p. de Lapouge, wykształconego na angielskich i niemieckich wzorach i ogłaszającego w fakultecie umiejętności ścisłych (facultés de sciences) w Montpellier wolny kurs antropologii i wiedzy politycznej (socyologii) na rok 1886—7. Młody uczony ma nieszczęście należeć do wysokiej a zubożałej arystokracyi; że zaś wiedza poprowadziła go do zerwania z tradycyami wyznaniowemi tej kasty, pewna zaś próżność nie pozwala zapomnieć o herbie, nie znajduje nigdzie sympatyi. Na pierwszej lekcyi grono „nagumowanych" młokosów z „katolickiego kółka" wyprawiło huczek; że jednak na następnych nie pojawili się, a część postępowych zaczyna słuchać go pilnie, wykłady idą torem poważnym, cenne z tego względu, że prócz katedry w Muzeum paryskiem i w Szkole antropologicznej nie istnieje we Francyi oficyalna katedra tej umiejętności, w czem, jak zauważył złośliwie prelegent, wyższość należy się Japonii. Wstępna owa lekcya p. de Lapouge przedrukowana w *Revue d'Anthropologie* *), komentowana dziś jest wiele, nie tyle dla nowości zawartych w niej poglądów, ile dla śmiałości, nie zatrzymującej się przed najdrażliwszymi i najboleśniejszymi wynikami badań naukowych. Wygłoszenie ich z katedry jest jak na scholastycyzm francuskich uniwersytetów zjawiskiem niesłychanego radykalizmu. Komentuję ją osobistemi wrażeniami.

Prelegent dzieli program swego przedmiotu na rys antropologii przystosowanej i wiedzy politycznej (science politique) — jak woli nazywać socyologię. Sprawdziwszy we wstępie ostateczne zwycięztwo teoryi przerództwa (transmorfizmu), w którego otchłani zapadły dzisiejsza teologia i filozofia, etyka i prawo, słowem, zasady obecnego ustroju społecznego, przeznacza na pierwszy dział: zjawiska dziedziczności, atawizmu, prawo krzyżowania ras, naukę o ich względnej wartości, rasach czynnych i biernych, tworzących postęp i przejmujących go; wreszcie prawo Galtona o eugenizmie i poprawie ras zapomocą doboru.

Ciekawe jest stanowisko prelegenta wobec dogmatu nadprzyrodzoności. Według niego, teorya przerództwa nie zawiera nic, coby sprzeciwiało się wyobrażeniom o porządku świata nadzmysłowego; między badaniem niepoznawalnego a poznawalnego punktów stycznych niema, niema też i starć. Wierzą w przerództwo najświecensze ludy Azyi; teologowie protestanccy godzą legendę biblijną o stworzeniu z wynikami wiedzy; nawet kościół katolicki rozbrojony na tę ścieżkę. Dla spokoju ludzkości lepiej by było, aby na transformizmie się zatrzymano. Tymczasem postawiono teoryę naturalnego tworzenia, jako jego logiczne dopełnienie. Większość transformistów ją przyjęła — stąd kataklizmy i przepaść bez dna dla obecnego rzeczy porządku; bo jeżeli wyłączymy z wyobrażeń o wszechświecie żywioł nadzmysłowy, trzeba będzie równocześnie wyrwać z zasadniczych podstaw poznania wszystkie konsekwencye, wyprowadzane z tych nadnaturalnych danych. Runie dzisiejsza etyka, jeżeli z jej źródeł usunie się pierwiastek boski, moralność bowiem, oparta na samem sumieniu, potyka się o dowiedziony dziś pewnik wyrabiania się pojęć moralnych raz przez hamowanie popędów, drugi raz przez dziedziczność. Jeżeli więc chce się zarzucić wiarę w nadprzyrodzoność, trzeba być logicznym i rzec: nie ma w sobie ni zła, ni dobra, nie ma wolnej woli, a bez niej moralności, ni prawa; cnotę dostajesz w spadku, a paragrafy ustawodawstwa są regulami gry w pikietę. Do takich wniosków muszą dojść moniści, zwłaszcza po wykryciu tajemnicy naturalnego tworzenia, mogącej wypaść lada dzień z doświadczenia w pracowni chemicznej. Na tym surowym dylemacie zatrzymuje się prelegent, dając do zrozumienia, że chcąc iść za wynikiem wiedzy, trzeba świat naszych wierzeń zburzyć do szczętu, stworzyć nową etykę i nowe prawa... Radykalizm, którego o nieśmiałość chyba posądzić nie można.

Oto jakie dla wyników swych znajduje p. Lapouge przystosowanie w drugiej części swego programu: Dzisiejsze zasady społecznego ustroju wyszły z chrystyanizmu: wolność, równość, braterstwo. Fiozofia ostatniego wieku zaparła się Chrystusa, ale konsekwencye jego religii zostawiła; wywierają też na nas ten skutek, co na ludach Azyi religia Buddy. Tymczasem powiedzieć sobie trzeba: wojna, uleganie słabych silnemu, jest koniecznością natury; siła istnieje, nie ma pewności, czy istnieje prawo, toż i zastąpienie siły prawem okazuje się chimerą. Zgubną jest dla społeczeństwa rzeczą poprawianie zbrodniarzów dziedzicznych, zgubną ułatwianie istnienia chorowitym i kalekom. Mrzonką jest idea równości, bo nieunikniona wyższość pewnych osobników, rodzin i ras, a ich różniczkowanie koniecznym warunkiem ustroju państwowego. We Francyi np. typ południowy dostarcza artystów i poetów; z praazyjskich brachycefalów biorą się rolnicy i mieszczanie, z aryjczyków dolichocefalów jasnych — arystokracya. Stąd jako warunek doskonalenia się ludzkości uważa prelegent specyalizowanie dziedziczne, system karłowy, co oczywiście wyklucza zasadę równouprawnienia. Oto, jak oddaliliśmy się—powiada— od chrystyanizmu i demokratyzmu. W żarliwości tej, szalenie rozpędzonej logiki posuwa się nawet za daleko, twierdząc np., że wyzwolenie niewolników było aktem czułości raczej, niż rozsądku; ci uczeni zapaleńcy nie liczą się ze starą prawdą, że wiedza niesie nieraz boleść i że wtedy światło pod korzec skryć lepiej...; ja go jednak kryć nie każę, bo to rzecz sumienia. Uratować by też można wobec p. de Lapouge niejedno uczucie humanitarne wykazaniem fałszu w jego dowodzeniach. Z odkryć wiedzy wypływa w końcu, że nieuprawnione są idejе pangermanizmu, panromanizmu, panslawizmu; nie idą w parze rasy i języki, nie ma ludu, w którym by się różne nie zmieszały plemiona.

Antropologia zagarnia dla siebie wszystkie gałęzie wiedzy, już z racyi swego tytułu, jako nauka o człowieku; wykreśleniem tego stosunku zajmuje się prelegent w ostatniej części odczytu, kraszące go trafnemi spostrzeżeniami, jak to, że u Homera wszyscy bohaterowie są jasnowłosi, a równie cały Olimp: Venus, Ceres, Dyana, Minerwa. Są to widocznie aryjczycy, dolichocefalowie jaśni; a pod Troją dokonywa się stokroć powtarzane zjawisko ujarzmienia południa przez północ; wykrycie niebezpieczne, bo dające Niemcom prawo okrzyczenia Achilla germanem.

Odczyt wygłoszony z zapałem, podnoszącym się w chwilach gwaru niesfornej kliki, był rodzajem apostolstwa śród żywiołów wrogich. Niektóre twierdzenia są paradoksalne, jak że „rasa dolichocefalów jasnych, czysta lub krzyżowana, wydała sama prawie wszystkie geniusze, którym cywilizacya zawdzięcza istnienie." Niektóre bezwzględne i nawet brutalne jak to: „Znałem wielu rumunów inteligentnych, nie słyszałem o żadnym, któryby był uczciwym człowiekiem," czem mógł sobie sprowadzić straszną odpowiedzialność wobec tutejszych studentów owej narodowości. Całość pozwalała jeszcze raz sprawdzić fakt, że francuski wykład pociąga zawsze wdziękiem bardziej niż niemiecki, choćby to była lekcya antropologii Du Bois-Raymonda, który ma obejście rubaszne, wymowę ostrą i twardą jak pruski bagnet, a żarty, któremi tam każdy profesor swe wykłady krasi — przystosowane do otoczenia.

W dzisiejszej Francyi wszystko takie blade, anemiczne, że potrzeba podobnych kwasów na mdłe alkalia niedołężnych natur; energię może wrócić jeno radykalizm; czy to w umiejętności, czy w literaturze i sztuce, czy w polityce wreszcie. Wszystko już było, nie nie trwa chwil paru— prócz hudy, która jest wieczna; a i ten radykalizm, gdy z tej lub owej strony wystrzeli, okazuje się wybujały, monstrualny, niepraktyczny.

Radykałem opisowego stylu postanowił być p. Rosny, autor powieści *Le Bilatéral.* W tytule mieści się jego choroba: zastąpienie zwyczajnych formuł określenia pojęć i rzeczy formułą umiejętną; wyrazów ludowych języka wyrazami sztucznymi, zaczerpnionymi z słownictwa greckiego i łacińskiego. Próba w swoim rodzaju jedyna; książka ogromnych rozmiarów (str. 516) mieści obrazki ze świata paryzkich socyalistów, śród których przewija się prosta miłosna intryga dwojga idealnych postaci: Héliera i Ewy. Pierwszy nosi przezwisko Bilatérala-Dwubocznego dla swego sceptycyzmu wobec teoryj wszystkich socyalistycznych grup: anarchistów, komunistów, gnesdystów, possybilistów itd.; druga jest wymarzonym wzorem kobiety w przyszłem wymarzonem społeczeństwie, kobiety wolnej od 18 roku życia i dobierającej sobie samca (*c'est le mot*, bo autor podstawia go, jako naukowy wszędzie na miejsce wyrazu „mężczyzna.)" Inne figury są rzeczywiste, wzięte z paryzkiego bruku, a autor nie usiłował ukrywać ich: Ludwika Michel zwie się Ludwikiem Mizel, pani Séverine, Sewerynem itd. O powieści też rzec nie ma co: główną oryginalnością jest styl. W czem polega ma-

---

*) 15 marca 1887.

niera autora, dziwaczna, fałszywa, niepłodna?...

Nie jest to styl realistów klasycznych, jak Daudet, bo ten tworząc nowe wyrazy, bierze je albo z ust ludu, albo składa, nie naruszając praw ducha językowego, słowem jest artystą i lingwistą razem. Nie jest to styl Zoli i naturalistów, bo ci określają imię pojęciem, pojęcie obrazem. Nie jest to symbolizm, bo ten zapożycza wyrazy z *argotu*, a atrybuty przedmiotów z wszystkich dziedzin, wbrew logice: atrybuty barw z dziedziny tonów, atrybuty tonów z dziedziny ruchów itd. Jest to szaleństwo, lecz „według systemu“— jak mówił o Hamlecie Poloniusz.

Naprzód spostrzega się tam rozbicie zasad twórczości języka dla zbogacenia go i stąd utworzone swobodnie przysłówki: colèrement, vaporeusement itd., lub słowa: frêchir, dormasser; następnie lekceważenie składni: *il était fort batu*, był mocno zbudowany; *endormi de figure*, z zaspaną twarzą itd. Niepodobna przeglądać całej morfologii i składni; najcharakterystyczniejszy jest tam nowy system słownictwa zamiast *cimetière*, cmętarz, mówi autor *nécropole*; zamiast grzyby, *champignons, cryptogames*; zamiast słońce, *soleil, le spectre solaire*; zamiast pajęczyna, *l'araigne, des tissus d'aranéide*; trawa zwie się *gramen*, kwiaty *les flores*, nieżyzna ziemia: *des minéraux inféconds*; ogrod, zwyczajny ogród nosi nazwę *l'oasis*, niby oaza śród Sahary Paryża. Trzeba namyślać się długo, nim się zgadnie, że „nieśmiertelny kusiciel“ ma oznaczać — miłość; marzenia dziewczyny opisane są w sposób następujący: „W szarej substancyi cerebralnej miłosna jej lektura kiełkowała,“ a wschód księżyca: „Krańcowe wahania słoneczne zagasły (sic), a pod 50° prawego wspięcia się 3/4 rdzawego księżyca (tj. pierwsza kwadra) błądziło.“ Na szczęście oszczędza autor czytelnika, pozostawiając potomności te do części opisowej; w dyalogach za to bohaterowie i bohaterki, nawet idealna Ewa klną okrutnie; a nic śmieszniejszego, jak po wierszach nabrzmiałych greczyzną frazes taki, czysto paryski: *Je pus d'tabac!* Nietylko tytoniu dla opędzenia się snowi, ale cierpliwości po kilku stronicach zabraknąć musi. Przebaczyłoby się jeszcze, gdyby autor stał na wysokości swej rzekomej erudycyi; lecz oto zdradza się dyletantyzmem, nazywając np. w jednem miejscu śmierć: „tryumfem nicestwa, nieubłaganym postępem Nirwany.“ W koncepcyi pesymistów śmierć i Nirwana są pojęciami odrębnemi, bo pierwsza jest jeno przemianą materyi, podczas gdy druga jej zaprzeczeniem.

O niepłodności tej nowej literackiej formuły słów tracić nie warto.

Egrot.

ZE WSCHODU.

Najnowsza poezya rosyjska. — Nadson. — Frug. — Apuchtin. — Andrejewski. — Brandes o powieści rosyjskiej.

W ostatnich czasach literatura rosyjska wielkie poniosła straty. Turgieniew, Dostojewskij, Ostrowskij, za nimi podążył Nadson w styczniu r. b. Poeta ten zgasł w pełni sił młodzieńczych, wtedy, gdy najbardziej pożądał życia. Cierpiał wielce nad obecnym ustrojem społecznym, ale pocieszał się nadzieją przyszłości, jaśniejącej szczęściem, wierzył w ludzkość odkupioną uczuciem, jakie Chrystus rozdawał spragnionym i łaknącym, a obecni krzewiciele praw socyalnych przywdzieli w formę naukową. Wymownie charakteryzuje go piękny wiersz takiej treści: Przyjdzie czas, gdy świątynie Baala rozpadną się, a miłość wróci na ziemię, nie w cierniowej koronie, nie w uścisku łańcucha, nie z krzyżem na barkach zgiętych. Zstąpi ona na świat w pełni sił i sławy, z promiennem światłem szczęścia. Nie będzie na ziemi ani waśni, ani mogił bez krzyża, ani niewolników, ani miecza, ani pręgierza. ...Złe dokoła zanadto uciska, noc za bardzo już ciemna; świat znuży się od mąk i walki bezmyślnej, krwią się zaleje, lecz znowu się podniesie do miłości najwyższej.

W innem miejscu wypowiada swoje zasady:

Wierzajcie mi, wy, ślepcy, wy, tchórzliwi duchem;
Ja prawdy nie porzucę pod groży obuchem,
Ani wyjdę na waszej nędznej rzeszy drogę,
A gdziem *wiedzieć* powinien, tam *wierzyć* nie mogę.

Poezye Nadsona nie odznaczają się wykwintną formą, nie odpowiadają najnowszym wymaganiom techniki, niema też w nich wielkiego bogactwa obrazów. Całą wartością ich jest żar, który wznieca przygasłe uczucia i porywa masy. Poeta sam trudną sobie drogę torował. Nie pomógł mu ani świeżo włożony na skroń wieniec akademicki, ani krytyka; ta bowiem, jeśli nie ganiła, to się zachowywała protekcyonalnie, a dziś nieraz cofa i tę skromną pochwałę, jaką wprzód przez zęby wypowiedziała. Pomimo to ów gorliwy poszukiwacz prawdy życiowej zdołał bezpośrednio połączyć się nicią serdeczną z ogółem czytającym, dowodem czego zupełne wyczerpanie w chwili obecnej *szóstego* wydania jego utworów, a jeszcze dwa lata nie przeszły od czasu ukazania się pierwszego.

Niedziela w zeszycie kwietniowym umieściła kilka urywków poezyj zmarłego, dotąd niedrukowanych. Jak gdyby przeczuwając, że mu śmierć wydrze lirę, czyni rachunek swej pracy: „Byliśmy młodzi — ja i myśl moja... nieustraszona kapłanka prawdy upragnionej. Szedłem za nią, jak wierny paź za królową dumną. „Naprzód“ — czasami usta mi jej szeptały — „nie bój się męczarni. Wiedz, że wtedy tylko miłość jest silna i czysta, gdy przez ogień cierpienia przebrnęła... I byliśmy wszędzie razem: w pałacach, na rynkach, w ciemnicach i na wertepach. Oddychaliśmy świeżem powietrzem i swędem murowanej stolicy. Zlewając się w miastach z tłumem wesołym, widzieliśmy obrazy godów i zbytków. W izbach słuchaliśmy wycia burzy jesiennej i trzasku tlejącego łuczywa o północy.“

Nadson jest ulubieńcem młodzieży. Oprócz poezyi, uprawiał publicystykę. *Zarja* kijowska i inne pisma drukowały wiele jego artykułów, wydanych obecnie w jednym tomie z portretem autora. Po epoce Puszkina i Lermontowa, następnie Niekrasowa, poezya rosyjska obumarła. Nie było bateryi, z których nieprzerwany prąd działał na społeczeństwo. Od czasu do czasu przebiegała iskierka i nikła w toni bibuły prasowej. Zdawało się, że mowa wiązana nie może się wznieść powtórnie na wyżyny, tembardziej, iż proza w ostatnich czasach plastyką i melodyjnością dosięgła szczytu, na którym wolno było stać wyłącznie poezyi w bogatych i misternych szatach. Ten prosty wyrobnik, zdolny niegdyś przemawiać tylko do tłumów mało wykształconych, dziś stał się władcą duchowym, który najdelikatniejsze struny uczucia porusza i wstrząsa. Przy takim wzroście współzawodnictwa poezya potrzebowałaby wzmódz się bardzo na siłach, ażeby znowu z godnością czoło swe podnieść. To też w Rosyi wielką niespodziankę zrobił Nadson, gdy z liry nieozdobnej dźwięczne tony wydobył. Nie są one potężniejsze od nuty Niekrasowa, ale również umieją do głębi duszy zaglądać.

Rok przeszły można nazwać epoką poezyi. Oprócz utworów wspomnianych pojawiły się: Fruga, Andrejewskiego i Apuchtina. Pierwszy z tej trójcy także szybko sławę sobie zyskał. Zrazu tematy do płodów swej myśli czerpał z Biblii, jako źródła podań o sławie i męczarniach, o potędze i upadku Izraela. Jest sam żydem, a więc gorąco odczuwa cierpienia swego narodu w wiecznej wędrówce po obczyźnie. Takie tło w *Pieśniach i dumach*; czasem ono znika pod grubą warstwą uczuć osobistych. W drugiej części p. t. *Pieśni smutku* struna żalu przodków i współbraci potrąca o inne, ogólniejsze i tworzy harmonijną melodyę. Największa wartość i siła tych utworów, gdzie autor przychodzi do przekonania, że nie można poprzestać na samem tylko opłakiwaniu przeszłości niepowrotnej, pomimo jej blasku, przebijającego przez szeregi wieków. W niektórych wierszach (*Jesienią*, *W dni sądu*) podkład biblijny tak jest nieznaczny, że można go usunąć bez najmniejszej szkody. W utworze *Fata morgana* poeta spotyka się z duchem Nadsona, lecz wogóle stoi odeń daleko niżej. Częstymi powrotami do ulubionych tematów nuży, a nadto mało jest samodzielnym, gdyż nieraz przypomina znane już myśli, szczególnie Lermontowa. Pisze dużo i pospiesznie, wskutek czego utwory bywają wodniste i bezbarwne.

Odmienne stanowisko zajmują dwaj inni poeci; u tych forma nad treścią góruje. Apuchtin — to sztukmistrz; pospolite, znane tematy ubiera w strój elegancki, ale pełen prostoty. Wiersz płynie gładko i swobodnie, efektów zewnętrznych niema, rzadko gdzie znać walkę z trudnościami technicznemi. Czytelnik doznaje wrażenia, jak gdyby słuchał muzyki spokojnej, melancholijnej, lecz nieco płytkiej. Dłuższy żywot sobie zapewnią te utwory, gdzie autor stara się wprowadzać analizę psychologiczną, chociaż nie zawsze z jednakowem powodzeniem. Poronionych płodów wydał mnóstwo.

Andrejewski — to melancholik, z każdej strofki wieje zwątpienie, gorycz. Nie jest to pesymizm, który powszechnie zapanował w dzisiejszej literaturze; znać osobiste niezadowolenie ze świata i ludzi, często przegląda udane zgoryczenie. Poeta z góry sobie zapowiedział, iż będzie śpiewał na nutę żałosną, dowodzi tego nawet dewiza położona na czele książki: *beauty is the sole legitimate province of the poem; melancholy is thus the most legitimate of all the poetical tones* (piękność — jedyna prawna dziedzina poematu; melancholia zatem najbardziej prawny ze wszystkich ton poetycki). W utworze *Mrok* skarży się na bezpłodność, bezcelowość życia, służącego „obcym świata celom.“ Czasem wybiega po za koło zaczarowane, dobrowolnie nakreślone, wtedy wiersz jego nabiera siły i prawdziwej wartości. O ile u Apuchtina znać łatwość tworzenia, o tyle u Andrejewskiego pracowitość, chęć wynajdywania zbyt oryginalnych zwrotów: „wilgoć łez osmala rzęsy, płaczą kryształy bogatych lodów“ itd. Jako tłomacz, Andrejewski okazał wielkie zdolności. Chciał też spróbować szczęścia i na innem polu. Utwór Turgeniewa, *Dosyć*, oblókł w formę rymowaną i trudności bohatersko pokonywał. Wielki powieściopisarz nic na tem nie zyskał, bodaj nawet stracił.

W Petersburgu popisał się w przeszłym miesiącu Brandes znajomością literatury rosyjskiej. Odczyt jego pierwszy jest właściwie charakterystyką kilku powieściopisarzów: Gogola, Dostojewskiego, Turgieniewa i Leona Tołstoja. Wielu innych, również wybitnych, pominął, jak: Gonczarowa, Pisiemskiego, Grygorowicza, Danilewskiego, Mieszczerskiego itd. W pierwszym okresie literatura rosyjska obfitowała w płody kosmopolityczne. Nowe prądy zaczynają się objawiać za Gogola. Oryginalność talentu widoczna w *Rewizorze* i *Martwych duszach*. Czterdzieści lat — powiada Brandes — potrzeba było na to, ażeby dramat skandynawski z Ibsenem na czele wzniósł się do wyżyn Gogola; niemiecki dotychczas nie stanął na tym stopniu. Twórca świetnych postaci swego społeczeństwa utorował drogę wszystkim nowym pisarzom, którzy, jak utrzymuje prelegent, są *melancholikami*: Gogol wskutek niezadowolenia, Dostojewski z powodu współczucia, Tołstoj z przyczyn nastroju religijnego. Tylko Tur-

gieniew dlatego melancholik, że filozof. Misticyzm — jest właściwością ogólną natury słowiańskiej. U polaków podlegają mu w XIX wieku wszystkie wybitne umysły: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i inni. U rosyan cecha ta przybiera rozmaite formy. Jeden tylko Turgieniew pozostaje spokojnym badaczem zapału religijnego. Ulubioną jego sferą jest świat ludzi słabych, chwiejnych, niepotrzebnych i opuszczonych. Odtwarza życie nieszczęśliwych, usiłowania, które nie prowadzą do niczego. Pisarz ten bardziej wykwintny, niż silny, umie jednakże kreślić czasem tak silne typy, jak Bazarow, Rudin. Gdy on wierzy w kulturę Zachodu, Dostojewski lekceważy ją i pokłada całą wiarę w swej ojczyźnie. Pisma Turgieniewa są w połowie utworami emigranta, drugi wprowadza czytelnika wyłącznie na grunt rosyjski. Dostojewski— to poeta paryasów, poniżonych, odbiduje iskrę bożą w najwstrętniejszych istotach. Jego rozstrój organizmu, epilepsya, odbijają się w utworach, ale zarazem i uczciwość wielka objawia swoją siłę. Najważniejszą jest psychologiczne jasnowidzenie, największe tam, gdzie autor odkrywa stan ducha, graniczący z obłędem, lub gdzie się kończy zdrowie moralne, a zaczyna stan zbrodniczy. Jest to znawca patologii duszy ludzkiej. Powieści *Występek i kara*, oraz *Pamiętniki z martwego domu*, przepełnione obrazami zbrodniarzy. W pierwszej występek jest przedstawiony od zarodku do zupełnego rozwoju. Założenie tej powieści, jak utrzymuje Brandes, opiera się na pytaniu: czy życie ludzkie ma wartość bezwzględną i do jakiego stopnia jest prawdą, że cel uświęca środki? Odpowiedź warunkowa: trzeba, żeby cel był dobry; jeśli nie można go bez cierpień osiągnąć, należy wybierać takie środki, które najmniej dostarczają męczarni. Raskolnikow (bohater) nie widzi jasno swej drogi; popełniwszy morderstwo, ginie z rozpaczy bez skruchy prawdziwej. Oczyszcza się związkiem z Sonią (prostytutką z nędzy), która mu radzi przyznać się do zbrodni. Według Brandesa, Dostojewski cierpienie poczytuje za dobro, a muzą jego jest litość.

Tołstoja krytyk duński nazywa ostatnim z wielkich realistów Rosyi. Silniejszy od Turgieniewa, zdrowszy od Dostojewskiego. Z pierwszym pokrewny pesymizmem, z drugim—wiarą w lud. Z ostatnim dzieli też nieufność do kultury zachodniej, a nadto rozpościera swą niewiarę i na cywilizacyę wogóle. Powieści jego — to najnowsza epopea. Oryginalny w wysokim stopniu, nie można go zaliczyć do żadnej szkoły. Nie znaleźć drugiego pisarza z ostatnich czasów tak głęboko rosyjskiego. Jest nadzwyczaj wiernym w odtwarzaniu rzeczywistości, opisuje to, co sam widział, swoje dzieciństwo, młodość, życie wojskowe na Kaukazie, spostrzeżenia nad klasą uprzywiejowanych itd.

W drugim odczycie Brandes, mówiąc wogóle o krytyce literackiej w wieku XIX, dodaje, iż Europa nie może dotychczas pojąć genialności natury rosyanina, gdy ten, przeciwnie, dzięki przenikliwości swego umysłu, łatwiej zrozumie cudzoziemca.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Żywot Kantaka w *Ateneum*. — Krew z krwi i kość z kości naszej. — Psalmista w polityce. — Czy tonący okręt poznański mogą uratować tacy sternicy. — Ordon zabity w poezyi i żyjący w rzeczywistości. — Dziwny los i dziwna sława.—Przeznaczona śmierć.— Modele do powieści. — Rycerz przemysłu literackiego. — Mniemany Sęczkowski. — Nasza wyrozumiałość. — Prośba do oszusta.

W ostatnim zeszycie *Ateneum* mieści się ciekawy i charakterystyczny wizerunek K. Kantaka, skreślony przez d-ra W. Łebińskiego. Obrazek to ciekawy nie wysoką miarą bohatera, który ani „wielkim mówcą,“ ani „wielkim taktykiem“ nie był, ale zasługuje na uwagę obfitością znamiennych rysów człowieka, którego poniekąd uważać można za doskonałe wcielenie pewnych właściwości naszych — za wyrazisty typ swojski tej odmiany, w której mózg jest przerośnięty sercem, a rozum — uczuciami. Oddany do szkoły „więcej odznacza się talentem niepospolitym, niż pilnością.“ Czując wstręt do studyów systematycznych, wpada w romantyczny bezład — umysłowy i życiowy. Gdy w r. 1846 młody Kantak stanął przed sądem, jako przestępca polityczny, broni się... „Psalmami przyszłości“ Krasińskiego. Gdy potem, jako poseł, broni swej narodowości od gwałtów i ucisku, powołuje się ciągle na prawa boskie, a przywiązanie języka tłomaczy tem, że to „dar boży.“ Wspomagany a wreszcie spadkiem obdarowany przez bogatego stryja, „idzie dalej niż św. Marcin,“ „postępuje prawdziwie jak Chrystus,“ to znaczy, nie mogąc oprzeć się żadnemu wzruszeniu, z sercem otwiera każdemu swą kieszeń, póki z niej ostatniego grosza nie wygarnie i biedy nie wpuści. W młodości „za stryjowskie pieniądze całemi furami zakupywał pieczywo i między łaknących rozdzielał,“ pożyczką, a w braku pieniędzy— poręczeniem chętnie służył. Wieś Dobieszewko wystawiono na subhastacyę; on staje jako licytant, ale zamiast kupić tanio, ulega prośbom wierzycieli i przejmuje wszystkie długi. Skutkiem tej uczuciowości było „bankructwo sielankowe.“ Przyspieszał je Kantak całą siłą. „Poczta codziennie przynosiła szereg listów z prośbami o wsparcie. O ile pieniądze były w domu, nieboszczyk listy otwierał i natychmiast załatwiał. Gdy zbrakło pieniędzy, listy pozostawiał *nieotwarte* — nawet od najdroższych mu osób. Dopiero gdy zebrał lub *pożyczył* pieniędzy, siadał do przeglądania korespondencyi i prośby *załatwiał*.“ Ciotka musiała zamykać jego bieliznę, bo zbyt szybko ginęła na podarki dla każdego włóczęgi.“ Raz „zdjął pantalony i podarował rodakowi.“ Jego czułostkowości „życzliwość“ wydaje się czemś lodowatem. „Głupi strasznie ten wyraz — pisze on. Nie chcę go, *protestuję* przeciwko niemu; wolę by ludzi... do których czuję ową logarytmiczną średnię, mnie *nienawidzili*, jak żeby podpisywali się w listach do mnie: „życzliwy.“ Obok uczestniczenia w sejmie i wypowiadania mów, do których nigdy nie przygotowywał się należycie i wiele pozostawiał „usposobieniu,“ to obdzielanie wszystkich sercem i kieszenią stanowiło jedyną jego pracę. Nie zdołano go nigdy namówić do żadnego zawodu, nawet po stracie majątku. W młodości napisał powieść, którą mu ciotka spaliła. Od tego czasu zdobywał się zaledwie na listy. Pomimo długoletniej działalności politycznej i udział w sprawach krajowych, nie napisał przez całe życie najkrótszego artykułu dziennikarskiego. „Chorował na nieprzezwyciężony piórowstręt.“ O ile nie siedział w parlamencie, włóczył się ciągle. Próżniactwo jego było niepokonanem. „Raz pragnął się przymusić do pracy terminowej, na *kilka dni* obliczonej, zabrał z sobą do domu jakiegoś biedaka, któremu podarował jedyną parę butów. Zanim szewc zrobił nowe, minęło trzy dni, a Kantak nie mogąc wyjść „na gazetę,“ przysiedział fałdów i pracę wykończył.“

Takim był jeden z najgłośniejszych polityków poznańskich. Każdy w nim pozna naturę swojską, bezładną w szlachetności, przez rozum nieopanowaną w porywach, pobudzeniom zewnętrznym ciągle podległą, z wszelkich karbów wyłamującą się, do systematycznej pracy niezdolną, naturę zabłąkanego w twarde warunki Farysa, który marnieje w bezpłodnych wysiłkach i rozbija się w nieuświadomionych zapędach. Kantak niejedną sprawę krajową zapałem swoim ogrzał, dużo dobrych chęci okazał, ale czy można go nazwać znakomitym politykiem, działaczem tego rodzaju, jakiego narodowość polska w Prusach potrzebowała? Bynajmniej. I w tem właśnie tkwi bieda, że tam widzimy albo zamrożone stalaktyty polskości, ludzi chłodnych i biernych, albo petardy uczuciowe, pękające z wielkim hukiem, do których należał Kantak. O pierwszem jego wystąpieniu w sejmie *Vos. Zeitung* rzekła: „W Izbie poselskiej wczoraj znów był polski „wykrzyk boleści.“ Do tych „wykrzyków boleści“ był on zdolnym, a o ile one nieraz tworzyły piękny hymn cierpienia, o tyle odbijały się bez skutku od zahartowanych na nie uszu niemieckich. Kantak—jak wielu mu pokrewnych obrońców narodowych — nie mógł osiągać celów praktycznych, bo był psalmistą, a nie mężem stanu. Albo mowy swoje „improwizował,“ albo skargi swego społeczeństwa opierał na kruchych podstawach sentymentalizmu. Gdy w kapłańskiem uniesieniu odwoływał się do „praw historycznych,“ gdy z religijnem namaszczeniem prorokował i przyzywał na świadectwo wolę nieba, chór słuchaczów zimnych, trzeźwych i szanujących przedewszystkiem siłę, odpowiadał szyderczym śmiechem politycznemu Wernyhorze, który rzeczywistości uznać nie chciał. „My się ostoimy — powiada — *byleśmy* wytrwali w wierze w Boga, i jego sprawiedliwość... w miłości do braci rodzinnej... Prawo i prawda z nami.“ Kogo to przekonywało, oprócz samego apostoła? Czy czas obecny odbrzmiewa sympatyą takim głosom? Co najwyżej odpowiada im litością. Wystawmy sobie Bismarka, którego Jeremiasz chce przerazić argumentem, że nie należy prześladować żadnego języka, bo to „dar boski.“ Co ów Goliat myśli sobie o tym kamyku Dawida?

Niedawno zastrzelił się we Włoszech człowiek, którego obdarzono sławą pod dziwnym warunkiem, że pozostanie dla rodaków umarłym i nigdy się do życia nie przyzna. Wawrzyniec Kantak ten postawił mu Mickiewicz. Trzebaż było szczególnego wypadku, że wielki poeta z opowieści Garczyńskiego napisał swoją wspaniałą *Redutę*, w której odmalował śmierć Ordona na polu bitwy. Poczya ta rzuciła tyle promieni chwały na postać bohatera, że nietylko wszyscy uwierzyli w jego zgon, ale on sam nie mógł już nastręczać się uwadze ogólnej i przeczyć swą obecnością, że „nie skoczył do lochów“ i nie wysadził się w powietrze, że nie istnieje „jako dusza,“ jako „patron szańców,“ że słowem, cała *Reduta Ordona* jest fantazyą. Obciążony brzemieniem niezasłużonej sławy, dzielny człowiek usunął się z przed oczu rodaków, w których mniemaniu zginął i błyszczał jedynie jako świetlany cień w koronie z geniuszu Mickiewicza, zatonął jak nurek w morzu obczyzny i rad był prawie, że go nie poznawano, gdy gdziekolwiek wypłynął. Ostatecznie wstąpił do wojska włoskiego i tam, przeszedłszy różne stopnie i koleje, samobójstwem życie zakończył. Jeśli prawdą jest, co podobno napisał, że chciał zginąć od kuli na polu walki, a nie mogąc tego „zaszczytu“ doczekać, sam się zgładził, niewątpliwie wiersz Mickiewicza oddziałał na jego postanowienie. Bohaterowi *Reduty* nieprzyjemną być musiała śmierć naturalna, zwykła, wspomnienie niezasłużonej aureoli dręczyło go, więc pragnął choć w części i sam spełnić na sobie ten wyrok, jaki na niego wydał poeta.

Kantak i Ordon — co to za wyborne modele dla powieści!

Niezłym, a dla naszych stosunków bardzo charakterystycznym jest trzeci z przeciwległego bieguna moralności, osłonięty bezimiennością rycerz przemysłu literackiego, którego biografię skreślono w *Kuryerze warsz.* Jakiś N. obrał sobie szczególny zawód: przepisywał rozmaite utwory drukowane i sprzedawał je redakcyom jako własne. Złapano go kilkakrotnie i puszczono bezkarnie. Nareszcie oszust próbuje innego zarobku: jako poeta Sęczkowski, w nędzy

i suchotach, zwraca się listownie do rozmaitych literatów z prośbą o wsparcie. Każdy mu coś daje, a on jednym przesyłając na dowód okazanego współczucia listy drugich, usuwa wątpliwości. Co do nas, którzy p. Sęczkowskiego nie znaliśmy wcale, użył jeszcze innego sposobu uwierzytelnienia swej przybranej roli: oświadczył gotowość ofiarowania za otrzymaną jałmużnę kilku ustępów z poematu *Janina* (który Sęczkowski istotnie wydaje zeszytami). Ofiary tej nie przyjęliśmy, natomiast chcąc biedaka dźwignąć, prócz pomocy osobistej, zaczęliśmy zbierać dla niego składki. N. wiedział o tem, napisał więc list dziękczynny (i jak wszystkie inne — sam przyniósł), błagając tylko o 4 rs. 47 kop. dla pokrycia jakiegoś długu i o zachowanie reszty na później. Nie dostał wszakże rzekomy „przyjaciel“ nic, bo postanowiliśmy wręczyć zebrane pieniądze mniemanemu Sęczkowskiemu w szpitalu św. Ducha, gdzie miał leżyć. Tymczasem zdemaskował oszusta p. Gomulicki. „Dłuższy pobyt N. w Warszawie (jeżeli nie chce zasiąść na ławie oskarżonych) — powiada *Kur. warsz.* — chyba jest niemożliwy.“ Ale gdzie tam! Jeżeli nawet recydywistów w oszustwie oszczędzamy tak wspaniałomyślnie, że zakrywamy ich nazwiska i ostrzegamy przed odpowiedzialnością — po co mają opuszczać *fideles Gefängniss*? Może jednak dla mojej osobistej ciekawości za „koleżeńską pomoc“ zechce mi łaskawie donieść, jak się nazywa. Przepraszam go, jeśli wymagam za wiele.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Podżegacz chłopski. — Różdżka czarodziejska. — Zaradni w Lubelskiem. — Dobry obywatel. — Stosunek przyjazny. — Fabrykant — zbawca. — Miłosierdzie z wysokości. — Wpływ natury na dobroczynność ludzką. — Kolonie letnie dla biednych dzieci. — Straż bezpieczeństwa. — Szlachcic — kupiec.

Głośny niedawno wypadek oporu władzy chłopów dembowickich rozmaicie tłomaczono. Poszkodowany wyświetlił sprawę w *Gazecie lubelskiej* na własną korzyść. Czy włościanie zbierali tylko gałązki, czy w pień wycięli kilkanaście morgów dobrego lasu, pomimo uporządkowanych służebności, wypaśli łąkę lub nie, trudno dokładnie wiedzieć, kto czyim kosztem chce wyjść czysto. Próbuje swoją stronę podtrzymać p. Witold Tarcza w *Gazecie rolniczej*, wynajdując następne źródło „demoralizacyi“ ludu: Był sobie Turek, „prosty chłop z chłopów,“ który nabył rozmaitych „światowych“ wiadomości, „komunistycznych“ poglądów i zaczął na swój sposób apostołować po gromadach, zdobywając w nich mir wszechpotężny. Bartkowi podobała się sąsiednia łąka dziedzica; idzie do Turka po radę: „A no, napiszcie do sądu, że przed laty rodzic wasz tam sprzątał, a świadków postawcie takich, żeby na to przysięgli.“ Maćkowi trzeba lasu: „Zetnijcie w ugajny dzień, gdy gajowy daleko, a potem powiedzcie, że drzewa leżały już dawno w lesie, więc macie prawo zabierać.“ Trwało to kilkanaście lat. Nareszcie — powiada korespondent — dembowiccy chłopi poznali całą siłę nahajek egzekucyjnych i przysięgli pewnie już dziś Turków więcej nie słuchać, gdy w smutnych gmachach rekolekcye odbywają. Jak ten przykład „zbawiennie“ podziałał, dowód, że wszystkie nadużycia w Ordynackich lasach, jakby „różdżką czarodziejską“ tknięte, ustały.“ Klaszczemy w dłonie!

O ile szlachta lubelska stara się ukazywać swoją nieskazitelność, o tyle niektórzy sąsiedzi na Wołyniu wyzuwają się coraz bardziej z wszelkich drażliwości pod tym względem, podawszy herbową dłoń nieherbowym wyrzutkom najlichszego gatunku. Dla pozbycia się wierzycieli tworzą zmyślone kontrakty i weksle na rzecz krewnych lub znajomych, urządzają pozorną sprzedaż ruchomości najpotrzebniejszych, jak: meble, garderobę itd. Tak się zabezpieczywszy, płacą *trzydzieści* lub *czterdzieści* kopiejek *za rubla*. Wszakże tyle czoła im jeszcze pozostało, że po zrobieniu takiego interesu zmykają za granicę lub w głąb kraju, gdzieś dalej od ojcowizny. W liczbie spekulantów niegodziwych są posiadacze milionowych fortun, z których dochody mogłyby wystarczyć nawet na życie wytworne. W regestrach wydatków, jak utrzymuje korespondent *Gaz. polskiej*, niema rubryki na potrzeby społeczne i umysłowe. Nie prowadzili otwartego domu, nie dawali balów, nie grywali w karty. Co spowodowało ruinę? Bezrząd, niezaradność i lekkomyślność. Drobne potrzeby, bez których można istnieć wybornie, zaspokajali pożyczanymi na wysokie odsetki pieniędzmi. Zwrócenie kapitałów odkładali na czasy odległe, pomyślniejsze. W ten sposób po latach dwudziestu dochody nie wystarczały na opłatę procentów. Drogą utartą przez starszych poszli młodzi. Pasowani na dziedziców ziemi ojcowskiej i obywateli kraju, w ciągu dwóch, trzech lat potracili majątki, zapieczętowawszy na wieki swoje do nich prawa nie klejnotem rodzinnym, lecz fałszywymi obligami. Od lat kilku zdarzały się pojedyncze tego rodzaju wypadki; dziś niemoc owa przybrała postać epidemiczną. Są wszakże tam ziemianie uczciwi, skoro jeden z nich powiada: „Jeżeli dalej tak pójdzie, będzie się czuł skompromitowanym każdy, kto się nie ogłosił bankrutem.“ Czy ci posiadają jeszcze tyle siły moralnej, ażeby mogli choć w części zapobiedz haniebnym czynom swych braci?

W Lubelskiem za to są zakątki, gdzie jednostki mocniejsze umieją zdrowem tchnieniem ożywiać słabszych. Niedbali gospodarze należą do wyjątków (według słów jednego z korespondentów). Wszędzie ogólna dążność do zmniejszenia wydatków. Zamiast zbytkowych koni, powozów, wina, łakoci, kupują konieczne narzędzia rolnicze. Zmysł ten zaradności ogarnął nawet lud miejscowy. Mają gładkie mierzyny, poprawnej rasy woły, sieją koniczynę, łubin, marchew pastewną, plantują buraki cukrowe. W chatach duże, widne okna, kuchnie angielskie lub piece dobre, podłoga drewniana itd. Szynkarze narzekają, że więcej wychodzi piwa i wędliny, niż wódki.

O wszystkich ziemianach lubelskich nie można tego powiedzieć. Gdzie spory ze słabszymi umysłowo i materyalnie kończą się dla ostatnich nahajkami i więzieniem, tam wiele cnót szlacheckich musi jeszcze w głębokiem spoczywać uśpieniu. Wyżej wzbił się p. B., właściciel Leśmierza w Łęczyckiem, udzielając pogorzelcom wsi Czerchowa bezprocentową na lat trzy pożyczkę w sumie 1,700 rs. Z tegoż powiatu *Gaz. świąteczna* notuje szczegół, dowodzący przyjacielskiego stosunku dworu z chatą. Dziedziczka majątku Rużyce, ciężko chora, musiała udać się dla uratowania życia do Warszawy. Służba dworska i włościanie na intencyę chorej urządzili mszę składkową w dzień operacyi, dokonywanej przez lekarzów. Taż sama służba nie przyjęła należnej płacy, mówiąc, iż teraz, gdy dziedzic ma wielkie wydatki na ratowanie żony, domownicy mogą poczekać.

Wybieganie szlachty po za obręb własnych interesów, przy jej w wielu razach ciężkiem położeniu, z przyjemnością zapisać można do księgi czynów obywatelskich. Większy wzbudza podziw miłosierdzie fabrykanta, czasem uwielbiane przez niektóre pisma. Wypadek ten rzadki godzien jest zanotowania. W jednej z fabryk młodzieniec, objąwszy rządy, z wyżyn mamony zstąpił na padół nędzy. Zdziwił się, znalazłszy tam oprócz własnej jeszcze inną potęgę, co zdołała zakuć w kajdany całe zastępy jego robotników. Olbrzymem tym był niepozorny lichwiarz. Szlachetny współzawodnik wszedł z nim w układy i wykupił niewolników za 4,800 rubli. Pieniędzy nie darował, lecz naznaczył oswobodzonym pięć lat do spłacenia długu bezprocentowego. Chcąc nadal zapewnić wyłączne swe panowanie w krainie pracy, tworzy statut kasy zaliczkowo-wkładowej. Oby również był potężnym w szerzeniu uczuć altruistycznych na Olimpie bogów przemysłu. Jowisze tylko, zajęci wielkiemi zagadnieniami własnego jestestwa, zostawiają sprawy maluczkich podrzędniejszym siłom. Do tych należy czasem ród kobiecy. Pani Delmont, żona dyrektora fabryki „Huta Bankowa“ w Dąbrowie Górniczej, podała projekt założenia towarzystwa dobroczynności. Może bukiet niewieści, z kwiatów dyrektorowych, poddyrektorowych, inżenierowych, chemikowych i innych, porzuci dotychczasową czynność plotkarską, a chwyci się nowości, rodzonej przez największą w ich gronie, zwłaszcza, że przed poczęciem jest już imię gotowe: „Św. Wincenty à Paulo.“ Czy tylko delikatne powonienie, nawykłe do *extrait-triple'ów*, zniesie duszne, stęchłe powietrze w izbach, przesiąkniętych potem pracy, a oczy, lubujące się wyśnionymi lub rzeczywistymi obrazami doskonałości rodzaju ludzkiego, czy się nie zamkną, przerażone widokiem okopconych, niekształtnych twarzy górników?...

Natura budząca się do życia, dziwny wpływ wywiera na ludzi. Ci, którym wstrząśnienia moralne myśli nie mącą, troska żadna nie dokucza, wychodzą z zimowego leża na świat weseli. Zieleń świeża, jasna, mile oko bawi, powietrze rzeźwi członki zdrętwiałe, ciepło wiosenne rozszerza serce. Stetryczały, zgryźliwy egoista staje się tak dobrym i miękkim, że świat cały przygarnąłby do siebie, setki biedaków obdarzyłby swego szczęścia... widokiem. Z własnych spostrzeżeń przekonałem się, iż na wiosnę najwięcej przypada czynów obywatelskich. Z tego powodu wierzę w powodzenie kolonij letnich dla słabowitych dzieci. Karolina de Bourbon, Andrzejowa Zamoyska, przewodnicząca [illegible] Gustaw Fritsche, główny opiekun powyższej instytucyi, wystosowali już odezwę. Społeczeństwo nasze w wielu razach nie jest głuche na wołania; dzięki temu od pięciu lat słabe ciałka skrofuliczne o wadliwym ustroju mają rajski żywot po cztery tygodnie każdego lata. Pod wpływem wiejskiego powietrza 720 dzieci obojga płci nabrało sił i zdrowia. Istoty, skazane na zagładę w suterenach wilgotnych i na bruku, nad rynsztokami cuchnącymi, rozwinęły się, nabrały energii śród pól, łąk i lasów. Zapadłe twarzyczki zaokrągliły się, dostały zdrowej cery, zarodki chorób zniknęły. I w tym roku mnóstwo kandydatów zgłasza się do szlachetnych inicyatorów. Kto chce podźwignąć karlowaciejący ród ludzki, niech spieszy choć ze skromną pomocą, a przekaże swój udział przyszłym nawet pokoleniom, zdejmując z ich karków cierpienia, prawem dziedzicznem przez przodków narzucone.

Nasi ojcowie mieli taką siłę rzutu, iż przez kilka wieków zdołali ugodzić w dzisiejszych potomków różnorodnymi pociskami. Z tych jeden głęboko utkwił w Częstochowie. Istnieje tam straż ogniowa, ale ponieważ wódz niema znaczenia, gdy się pośród żołnierzy nie wyróżnia, więc naczelni bohaterowie częstochowscy posprawiali sobie kaski ozdobne w złocenia, gwiazdki, gałązki, esy, floresy itd. Korespondent *Tygodnia* zwraca uwagę owym rycerzom nowoczesnym, iż mogli kilkaset rubli na blichtr wydanych lepiej zużytkować, np. na narzędzia ogniowe, gimnastykę, lub na wskrzeszenie wydawnictwa *Strażaka*. Drugi grot, zarośnięty w mózgach niektórych ziemian płockich, ujawnił się niedawno przy sposobności. Jeden z pośród nich długo walczył z surową opinią większości, wreszcie rzuciwszy w kąt żupan, nałożył kurtkę kupiecką i dziś jest

właścicielem sklepu dla włościan, którzy mogą tam znaleźć wszystko, co tylko im potrzeba przez rok cały. Wygoda i oszczędność wielka, gdyż przedtem musieli się zaopatrywać w niezbędne produkty w odległem mieście ze stratą czasu i pieniędzy. Dzielny obywatel stanął na ostrzu krytyki i niechęci sąsiadów za to, iż się ośmielił wystąpić z zapleśniałych szeregów.

Drogomir.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta polska w korespondencyi z Pragi przeczy doniesieniu, jakoby na nabożeństwie za Kraszewskiego znajdowały się „wszystkie znakomitości“ czeskie, a na pogrzebie „reprezentant narodu.“

„Wyobraźcie sobie, jak łatwą do pojęcia wesołość wywołuje w kołach tutejszych podobne mieszanie pojęć, branie burmistrza Pragi, właściciela restauracyi, p. F. Walisza, który z osób, mniej więcej, przynajmniej szerszej publiczności, znanych, sam jeden był na nabożeństwie za „wszystkie znakomitości czeskie“, a sprawozdawcę *Hlasu naroda* za „reprezentanta narodu czeskiego“.

Gdyby naród czeski jakimś *suffrage universel* lub przez głosy dzienników wskazał kogoś i upoważnił do przedstawicielstwa *narodu* przy pogrzebie; gdyby klub czeski na radzie wybrał z pomiędzy siebie delegata na pogrzeb i dał mu mandat reprezentowania *narodu*; gdyby wreszcie przynajmniej jaka instytucya, lub choćby narodowe jakie wielkie stowarzyszenie posłało umyślnego przedstawiciela, możnaby — acz w ostatnim wypadku z trudnością. — mówić o reprezentancie *narodu* czeskiego na pogrzebie. O niczem jednak podobnem mowy niebyło. Że zaś w żadnym z tych wypadków reporter okolicznościowy *Hlasu naroda* nietylko by nie miał szans wyboru na takiego reprezentanta *narodu*, ale by wcale na tę godność kandydował, — każdy zrozumie.

To łudzenie swoich, a ośmieszanie się szumnem, niewłaściwie użytem słowem wobec obcych, jeszcze jedną ma złą stronę: domniemanego „reprezentanta narodu“ za powrotem do ojczyzny stawia w drażliwem położeniu...“

PRASA ROSYJSKA.

Petersb. Herold tak przedstawia zamiary nowego ministra skarbu dla podniesienia kursu waluty austryackiej:

1) „Urzędy celne mają otrzymać rozkaz, mocą którego pewną część ceł mających być pobieranemi w złocie, przyjmować mają *w rosyjskich biletach kredytowych, po kursie*, jaki ministeryum skarbu peryodycznie ustanawiać będzie. 2) Wszystkie krążące w Berlinie *rosyjskie bilety kredytowe*, stanowiące ciągle przedmiot spekulacyj, mają być wykupione na rachunek rządu rosyjskiego i przez to z targu wycofane. 3) Jednocześnie zakazany będzie wywóz biletów kredytowych *wagonami* dla spekulacyi, podróżującym zaś za granicę dozwolonem będzie zabierać banknoty, które jednak wywożone być nie mogą ani w kufrach, ani w workach. 4) Ministeryum skarbu zamierza przyjmować wszystkie sumy banknotów rosyjskich, rzucane na targ berliński na dostawę (termin) i żądać punktualnej ich dostawy *in natura*. 5) Ministeryum wskaże osobne biura wypłaty w Berlinie, Hamburgu, Frankfurcie n. M., Amsterdamie, Wiedniu, Paryżu, w których to biurach podróżni będą mogli wymieniać na bieżącą monetę danego kraju swe rosyjskie bilety kredytowe po peryodycznym kursie, po jakim rosyjskie urzędy też bilety przyjmują.“

Gazety niemieckie szydzą z tego projektu i nazywają go złudzeniem.

Wilensk. Wiestnik w dalszym ciągu „Kwestyi spornej“ pisze:

„Wytworzenie katolicyzmu rosyjskiego, wedle Aksakowa, byłoby najzupełniej zgubne dla prawosławia i sprawy rosyjskiej na zachodzie. Język rosyjski, dozwolony przy nabożeństwie i na kazaniach, stanie się orężem propagandy księżej. Gdy prawosławny usłyszy swą mowę w kościele, zaprzestanie uczęszczać do cerkwi, przeniesie nad nią kościół, bo tam grają organy a wtedy ksiądz zapomocą kazania pochwyci jego biedną duszę. Dopuszczenie języka rosyjskiego w nabożeństwie katolickiem mogłoby się wydać sankcyą dla katolicyzmu, a nawet życzeniem rządu, aby naród pozostawał w tem wyznaniu. Wątpimy, czy znalazłby się choć jeden ksiądz prawosławny, który życzyłby sobie mieć w sąsiedztwie taki kościół rosyjsko-katolicki.

Co o tem myślą księża prawosławni, wypadałoby chyba zapytać ich samych; co zaś do zdania Aksakowa, iż prawosławie jest bezsilne, aby zrównoważyć urok organów i kazań księży katolickich, to tak ubliża ono uczuciom prawosławnym, że polemika byłaby niestosowną. Tem więcej zdanie to obraża naród, pozostający przez cztery wieki między kowadłem katolicyzmu a młotem polskości, a mimo to wierny i prawosławiu i rosyjskości.

Nie trzeba tracić z uwagi i tego, że gdyby katolicyzm rosyjski stanowił tak silny oręż dla propagandy katolickiej, gdyby latynizm stanowił wyłączną cechę polskości, to czy można przypuścić, ażeby duchowieństwo katolickie było tak ślepe i nie spożytkowało rzeczonego a dzielnego środka w swych celach, tembardziej, iż rząd nie mógłby przecie zabronić i poddanym używania języka państwowego?

Nie, nie cele religijne, lecz polityczne mają w myśli księża, opierając się wprowadzeniu do kościoła języka rosyjskiego. Katolicyzm dozwala używać języka miejscowego. W Rzymie drukują się księgi liturgiczne w języku słowiańskim, na wybrzeżach Adryatyku w narzeczu miejscowem odprawia się całkowita służba boża; nie sięgając daleko, już w roku bieżącym papież zezwolił w Czarnogórzu odprawiać liturgię w języku słowiańskim. Otóż odrzucanie języka rosyjskiego w kościołach przez duchowieństwo łacińskie nie ma podstaw kanonicznych, lecz wyłącznie polityczne. Duchowieństwo powiada, iż przyjmie narzucony mu język, jeżeli papież na to pozwoli, ale ciekawą jest rzeczą, który to papież zabronił modlić się w języku rosyjskim? A jeszcze ciekawszem jest, jaki to obowiązek zaciągnęło na siebie państwo rosyjskie, aby temu zakazowi podlegać?“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zabroniono dzieciom rodziców, zajmujących się przedsiębiorstwami demoralizującemi (jak np. sprzedaż drobna wódek, utrzymywanie domów rozpusty itp.) uczęszczać do zakładów naukowych bez osobnego pozwolenia ministra oświaty.

W sądzie okręgowym warszawskim toczyła się ciekawa sprawa niejakiego Humlęckiego, który, za udział w powstaniu pozbawiony praw i skazany na osiedlenie, wrócił ułaskawiony manifestem. Ponieważ majątki jego, jako po cywilnie zmarłym, przeszły drogą spadku w inne ręce, on więc teraz, jako cywilnie wskrzeszony, żąda ich zwrotu.

Tymczasowym prokuratorem Izby sądowej mianowany został p. Thuvau.

Termin umowy, zawartej między Francyą i Rosyą o własności literackiej i artystycznej upływa z dniem 14 lipca r. b. Poseł francuski na dworze petersburskim, p. Laboulay, prowadzi korespondencyę z ministrem spraw wewnętrznych o wznowienie umowy w szerszych granicach.

Inspektorowie oddziałowi na kolejach, według najświeższych przepisów, mają prawo wglądać we wszystkie czynności urzędników i służby, oraz przedstawiać do uwolnienia ludzi starych, niedołężnych, małoletnich lub tych, którzy nie złożyli egzaminu z języka rosyjskiego. Obowiązani są trzy razy do roku odbywać rewizyę linii.

Marki i papiery stemplowe dały w r. z. dochodu państwu 16,437,446 rs.

W wystawie międzynarodowej w Paryżu 1889 r. Rosya nie przyjmie udziału. Przemysłowcy będą mogli w niej uczestniczyć prywatnie.

Zapis. Zmarły w Petersburgu Augustynowicz, zapisał dla warsz. Towarzystwa dobroczynności 25 akcyj kolei żelaznej Rysko-Dynaburskiej, tudzież wierzytelności na upadłych dwóch domach bankierskich.

Lucyan Jurkiewicz, wychowaniec szkół piotrkowskich, został agronomem rządowym w Sachalinie. Obowiązkiem jego jest rozdawanie osiedleńcom nasion sprowadzanych z Japonii, oraz nadzór ogólny nad uprawą ziemi.

Uczony grecki, Petros Pappageorgiu, wykrył w Filipopolu odpis z XIV wieku dzieł Arystotelesa. Są tam trzy księgi: O niebie, O powstawaniu i zniszczeniu i O duszy; nadto jedna księga uwag krytycznych.

„Związek,“ przewodnik pożarniczy, miesięcznik, zaczął wychodzić w Galicyi.

Bank ziemski. Jeden z obywateli podaje w *Kur. poznańskim* nowy sposób działania banku. Instytucya ta powinna nakłaniać magnatów polskich w kraju i za granicą do nabywania majątków w Księztwie, zapewniając im pewien procent od kapitałów i zupełne oswobodzenie od wszelkich kłopotów. Bank nabywcom poręcza swoim funduszem 3½% czystego dochodu, majątki zaś własnem staraniem wydzierżawia (mniejsze folwarki) na lat 15. Dzierżawca płacić ma 4½% od sumy szacunkowej, z czego właściciel otrzyma 3½%, a bank 1% na koszty i fundusz rezerwowy. Autor tego pomysłu utrzymuje, iż kapitał banku wystarcza aż nadto na wykonanie tego projektu.

W Krakowie komitet opieki nad wydalonymi z Prus zakończył swoje czynności i rozwiązał się. W ciągu działania umieścił na posadach w Galicyi 3,030 osób. Przez rok i trzy miesiące otrzymywał 50 ludzi dziennie. Dochody wynosiły 22,730 złr., wydatki 18,550. Resztę wysłano do Londynu na wsparcie dla pozostających tam w nędzy wygnańców.

Włoska wystawa sztuk pięknych i sztuki zastosowanej do przemysłu otwartą została w Wenecyi.

Bibliografia. K. F. Becker *Historya powszechna*, zeszyty od 29 do 40, Warszawa, H. Olawski.

— G. Nayck, *Wielki atlas* zoologii, botaniki, mineralogii, tłom. J. Baranowski, zesz. 22, Warszawa, H. Olawski.

Literatura. *Ulana* Kraszewskiego ukazała się w Paryżu w przekładzie Władysława Mickiewicza.

— *Duch od stepu*, poemat Bohdana Zaleskiego w przekładzie czeskim Ludwika Pokornego.

— W Paryżu wyszło z pod prasy obszerne dzieło Mayera, *La question agraire*, w którem znajduje się obszerny traktat o nas przez dr. Kazimierza Waliszewskiego.

— Asnyka wybrane poezye przełożył Wł. Gumplowicz p. t. *Ausgewählte Gedichte.*

— *Budapester Journal* ogłosił mniejsze nowele Sienkiewicza.

— *Izwiestija* umieściły życiorys Bohdana Zaleskiego.

— *Meir Ezofowicz*, powieść Orzeszkowej, drukuje *Voleur* w przekładzie Wiktora Tissota z ilustracyami Andriollego.

Dziennikarstwo w Japonii rozwija się coraz bardziej. Wiele miejsca zajmują artykuły polityczne. Najlepszy dziennik kosztuje miesięcznie niespełna 1 markę

Nowe lądy. Na wodach oceanu Spokojnego odkryto niedawno trzy wyspy o 30 mil od północnego brzegu Nowej Gwinei. Jedna, nazwana *L'ile Allison*, długości półtory mili, pokryta wspaniałymi lasami.

Volapük we Francyi, Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych znajduje zastosowanie w korespondencyi handlowej. Szkoła wyższych nauk handlowych w Paryżu ma licznych tego dziwactwa słuchaczów. To samo w Bordeaux. W Madrycie język powszechny wszedł w program nauk uniwersyteckich.

„Dwutygodnik dla kobiet“ p. T. Rodańskiej w Poznaniu przestał wychodzić wskutek zawodów doznanych pod każdym względem.

Stypendyum w r. b. wolne po rs. 150 rocznie dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania katolickiego, pragnącego się doskonalić w malarstwie i rzeźbie. Stypendyum to drogą konkursu po wykonaniu pracy na zadany temat przyznaje Tow. zachęty sztuk pięknych, gdzie się zgłaszać trzeba z odnośnemi podaniami. Prośba powinna być zaopatrzona w dowody legitymacyjne. Termin składania podań upływa d. 15 czerwca r. b.

Sztuka. Na wystawę Krywulta przybył obraz Matejki: „Ostatnie chwile Zygmunta Augusta.“

Zakaz. Władza szkolna wydała ponowne rozporządzenie, wzbraniające uczniom wypożyczanie książek, tudzież branie udziału w charakterze członków w czytelniach bezpłatnych pod opieką Tow. dobroczynności w Warszawie.

Towarzystwo Tatrzańskie w Krakowie urządza filię celem krzewienia muzyki na podhalu tatrzańskiem.

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne nawiedziło w Anglii Castlecomer i okolice. Niebo pokryło się nadzwyczaj ciemnemi chmurami, następnie spadła ulewa trwająca 4 godziny. Zwierzęta chowały się, psy biegały jak szalone. Deszcz pozostawił czarne plamy na płótnie. Woda w strumieniach i studniach zafarbowała się i była chwilowo niezdatną do użytku.

Samobójstwo. W twierdzy Metz sierżant artyleryi, Sobrient, liczący 28 lat, odebrał sobie życie wystrzałem armatnim, przywiązawszy się do wylotu lufy działa polowego. Ciało samobójcy rozszarpane zostało na setki kawałków.

Powiększenie przypadającej urzędnikom z prawa emerytury za wstawieniem się władzy może nastąpić tylko w wyjątkowych wypadkach. Osoba przedstawiona do podwyżki, winna liczyć nie mniej niż 30 lat służby. Rozmiary powiększonej sumy nie mogą przewyższać pensyi etatowej, pobieranej poprzednio. Zwiększone kwoty nie będą wydawane urzędnikom lub ich rodzinom, posiadającym środki materyalne, albo pobierającym prócz emerytury rządowej pensye dodatkowe z kas emerytalnych.

Konkurs muzyczny imienia Józefa Kuryerowa rozstrzygnięty został d. 12 b. m. Nagrodę jedyną 180 rs. przyznano kompozycyi p. t. „Świtezianka," przeróbce na kantatę ballady Mickiewicza. Wzmiankę zaszczytną otrzymał utwór p. t. „Sen i kabała" do słów Syrokomli. Autorem pierwszej jest p. Zygmunt Noskowski, drugiej — p. Michał Biernacki, dyrektor Towarzystwa muzycznego w Stanisławowie w Galicyi.

Cukrownictwo. W d. 10 b. m. podpisano urzędownie akt konwencyi fabrykantów cukru, skutkiem czego syndykat w Kijowie rozpoczął swoją działalność.

Księgarnia czeska w Wiedniu, jedyna, założona i utrzymywana przez Stanisława Pražaka, w celu krzewienia literatury, przestała istnieć wskutek braku poparcia.

Zmarli. Józef Buszczyński w Toruniu, właściciel drukarni i wydawca *Gaz. toruńskiej.*

— Alfons Kasciesza Nieszkowski w Lugdunie, urodzony w początku bieżącego wieku w Kaliskiem. Służył w wojsku polskiem w stopniu oficera, następnie był długi czas urzędnikiem kolei żelaznej we Francyi. Zostawił pamiętniki, zawierające wspomnienia z kraju i wędrówki po obczyźnie.

— Karol Martini, w Warszawie, rzeźbiarz i sztukator.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. St. P. w Mal. Wątpię, czy zdołam tu być dość jasnym w krótkiej odpowiedzi, jeśli nie zdołałem w długich utworach i artykułach. Ale próbuję. Według mnie, kobieta jest człowiek. Jakie ten człowiek ma posiadać prawa, zależyć powinno tylko od tego, jakie okaże zdolności. Tymczasem dotąd więcej ona myślała o zdobywaniu praw, niż o kształceniu i rozwijaniu uzdolnień. Należy porządek odwrócić, gdyż inaczej pozostanie ona ciągle zagadką — przedmiotem głosowania na wiatr. Czy kobieta powinna zasiadać w parlamencie lub zajmować katedrę, jest kwestyą równie bzdurną, jak np. pytanie, czy gimnazista może być adwokatem. Jeśli skończy wydział prawny i objawi należyte zdolności, jeśli nie — nie. Mojem zdaniem jedynym trybunałem zdolnym rozstrzygnąć sprawę wyzwolenia i równouprawnienia niewieściego jest szkoła. O nią przedewszystkiem walczyć trzeba. Czy jeszcze nie jasno?

W. D. w Siedlcach. Obie dziedziny są tak obszerne, że ściśle wymierzyć się nie dają. W zastosowaniu praktycznem medycyna wymaga studyów rozleglejszych.

Bezimien. w Moskwie. Ofiara Panów na ten cel ani wykazaną, ani przesłaną być nie może, gdyż takiej instytucyi tam niema.

OFIARY.

Na biednych: Dr Mączewski kop. 50.
Na szkołę rzemieślniczą. Jabłkowski rs. 2.
Dla chorego studenta. Rutkowski z Wilkomierza kop. 50.
Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs. 20.
Na wpis dla uczniów. Br. Jabłkowscy rs. 5.

Ogłoszenia.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż z zapisu Franciszka *Korwin Szymanowskiego* wakuje stypendyum po rub. 150 rocznie, dla młodzieńca urodzonego, w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego i moralnej kondulty, pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiej lub rzeźbiarskiej. Stypendyum przyznane będzie przez Komitet Towarzystwa temu ze współubiegających się, kto pod okiem delegowanych Członków Komitetu najlepiej wykona na tematy przez Komitet wyznaczone, prace za dostateczne uznane. Otrzymujący stypendyum może się kształcić w kraju lub za granicą. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia, Szymanowscy herbu Ślepowron, przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głodowy, mieć będą pierwszeństwo do stypendyum.

Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum, winni zgłosić się z podaniami na papierze bez stempla do Komitetu Towarzystwa, do dnia 15 Czerwca r. b., z załączeniem metryki urodzenia, świadectwa niezamożności i świadectwa dobrej kondulty; zaś Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów, i legitymacyi swojego pochodzenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Мая 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.